JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

ZAWODY

WARSZAWA 1922
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLJOTEKA POLSKA"

ZAWODY

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

ZAWODY

WARSZAWA 1922
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLJOTEKA POLSKA"

Zakłady graficzne „Bibljoteka Polska" w Bydgoszczy.

PIĘKNIEJSZEJ PRZYSZŁOŚCI —

ZIMA

DRUCIARZ

Chudzik se na drodze przystanął, ziemniakowaty swój nos wgórę wzniósł i jął węszyć zimne, świeże powietrze, zapach, idący z miasta, ten i ów dym złowonny, ten i ów miły, pierś we wnętrzu, niby miodem głaszczący. Ale jeszcze coś prócz tego wszystkiego węszył druciarz Chudzik z otwartej drogi, jakby płótniakiem ku miastu wyciągniętej. Oto radość przyszłą węszył...

Zdaleka przez świetliste powietrze, niby przez farbkę niebieską w wodzie rozpuszczoną, widać stare narożniki Wawelu, połatane czarnemi oknami, rzekłbyś te spódnice i kiecki bab w gromadzie rozsiadłych.

Skądże ta radość przyjdzie co sprawi, kogo, gdzie, jak bujać i huśtać będzie?

Ano, gdzie ona jest, niewiadomo. Ale wiadomo, że w Chudzikowej piersi zostawiła wartki wrzątek czegoś, co się kołem obraca, piętą przystępuje, śmigą wiatraczka strzyże, młyńskiego kamienia żuchwą miele smakowi-

cie i powiada gwałtownie, a tak radośnie, że aż gderliwie, i tak prędko, że aż pytlując, — powiada w oczy patrzące, w ucho rozwarte i nos węszący: Radość cię czeka, Chudziku — i już... Gdzieś ci się ta na drodze twego dnia strawa, posiłek nadarzy — i już...

Na tę myśl, z najniższej czeluści głodowej wychynęło coś pod górę, błysnęło w oczach, zwarło szczęki i zaświergotało w uszach chłopca: Ech ty! jedzenie!...

Czerstwe, ranne głody ściskały Chudzika, krzepko i zdrowo. Przystanął, bo mu mruczało w środku, jakby w brzuchu kot mruczący siedział. Przystał Chudzik, porteczki podwinął, paskiem ściągnął, potem z ramienia na ramię przełożył rzemień z ciężarem. Było co dźwigać. Nosił przecie na sobie blaszane formy, firanki, zmiotki, łapki na myszy, proste i droższe, i zmyślne, otwierające się z dwóch stron, na dwie myszy. W torbie miał kawały blachy do łatania rondli, różnoraką maź do lepienia czerepów, obcęgi, obcążki, wreszcie na ramieniu zwoje białego i mosiężnego drutu.

Przerzucił to wszystko z ramienia na ramię i poszedł.

Z za zakrętów, z za wikliny, z poza mgły lekkiej, wylegał coraz sowiciej cały Wawel

z wieżami, kręconemi wysoko pod niebo, z drugiemi, którym, jakby kto w łeb dał i spłaszczył, i trzeciemi, co, gruzu się najadszy, wyróść nie zdążyły. Między tym zgromadzeniem wież murowanych, przylepek i łat rozrastał się mur warowny, zjedzony przez burze, słoty i szturmy. Zdaleka, to się ten mur bronzowy, przechodem czasów ściśnięty i wysuszony — widział Chudzikowi, — niby ogromne kromy czerstwego razowca, tu i owdzie spękane w głąb, aż do ośródki. Bo jako przez spieczoną skórę ośródka — tako tu z murów wyłaziła — stara, odwieki pamiętająca i wciąż płodna ziemia.

Juści tak.

Bo gdy na starym bochenku chleba pleśń i śniedź żeruje — tu, z międzypomiędzy starych wawelskich rozłamów hasa w najlepsze ku górze bujna zieloność.

Dziwnie to wyglądało. Powiedziałbyś, człowieku, że samo życie nowe rózgami prętów soczystych tryska z rozpadlin, że miotełką liści, starość owych murów okurza, pociesza, łagodzi i koi.

Dalej od Wawelu, od schylonych przez wiek grzbietów katedry i kaplic spływały se wzgórza ku dołowi modrym fałdem zieleni,

aż po srebrną listwę Wisły. A Wisła teraz we słońcu wiosennym widziała się Chudzikowi, niby rozpuszczony, jedną, niewyczerpaną wodą płynący bystry diament, oprawiony w złoto nadbrzeżnych piasków.

Wiater se chodził i łaził między wszystkim. Przez wodę rzeki pluskał tchem słodko dmuchającym, to znów wikliny ku sobie skłaniał, że się sczepiały, niby splótszy ręce dzieci, — kręgiem rozchwianym tańczące. To znów trawę pod włos do góry czesał i, lecąc wyżej, rozganiał nadmiastowe dymy po czystem niebie.

I jakżeby to mogło być, — pomyślał sobie niechcący Chudzik, rozwartym okiem widok obejmując — żeby to-to wszystko nie dało zjeść i napić się i zarobić człowiekowi!?..

Ominął spojrzeniem stary zamek wawelski i patrzył na samo miasto Kraków. Na te dachy spiętrzone, splątane, polane światłem słońca, niby topionym masłem. Na te wieże — co, żebyś, człowieku, nie wiedział, tobyś myślał, że tam wysoko, w przestworzu nieba czystego, głosem godzin bijących nie godzinę znaczą, — a zasię oddychają głośno, z kamiennej piersi oddech miarowy wypierając.

Przysporzył kroku. Teraz mu droga szła

nad samą Wisłą wedle rybaków i galarów. Rybacy, niby te haki wbite u brzega, siedzieli nieruchomo nad wodą z wielkiemi wędami, wpatrzeni w srebrny połysk toni, — rychło li się pławik zakołysze...

Zato na galarach szło życie już na dobre. A zdały się one, grzecznie obok siebie stojące, szerokie, pojemne, niby czyjeś chodaki, lub kierpcie.

Udała się ta myśl Chudzikowi i zaśmiał się. Juści na takich chodakach wielgachnych, mocnych i posuwistych sunie se człek po wodzie, — jeszcze jak zgrabnie!... Chodaki nielada, większe niż łódka, zmieści się w nie wszystkiego jak w karczmę, ale nie dla zabawy są — mocne i spławne.

Pełne były węgla, który się w słońcu mienił i łuszczył sinawo-niebieskim poblaskiem. W środku każdego galara widniała przystojna budka podłużna. Na progu jej siedział taki, lub owaki flisaczyna i prządł z fajki do zębów uczepionej cienkie wstążeczki dymu. Opodal na cegłach paliło się krasne ognisko pod garnkiem z warzą. Płomień drżeniem i blaskiem raz po raz znikającym ginął w jasnym ogromie i, zdało się, targał powietrzem i na karbki je zwijał. Bo wszystko, coś z od-

dali ponad ogniskiem ujrzał, drżało, jakby żarem płomienia kołysane.

Do miasta by już wejść, — pomyślał Chudzik.

Żal mu się zrobiło tego widoku słodkiego, tego zapachu, co nęcił wonią, jak namowne zaprosiny. Ale wiedział Chudzik, że przecie pracować, zarabiać musi, bo musi do domu nad wieczór pieniądz zarobiony przynieść. Więc żeby tak i tu pozostać i własne lenistwo omylić — kroku zwolnił i już szedł noga za nogą, becząc głodnym, żadną strawą nie przetartym głosem: Garnki drutować! Garnki drutować!

Odezwał się któryś flisak zdołu z nad Wisły: „Chodźno tu".

Pobiegł Chudzik.

Pokazali rozbity garnek do odrutowania, umówili się o cenę.

Chudzik siadł na krawędzi galaru. Z blaszanym chrzęstem ściągał przez głowę rzemień z wyrobami, zwoje drutów i torbę. Zsunął to wszystko na dno, że aż jęknęło, i zaczął przymierzać czerepy garnka.

— Jodeś już co? — zagabnął flisak stary, siedzący przy ognisku.

— Nie, — odpowiedział Chudzik. I zaraz

radośnie się zaśmiał, drąc gębę od ucha do ucha. Bo przecie wyczuł w głosie starego, niby srogim i zadzierzystym, że nie po próżnicy o jedzenie pyta...

Tymczasem przy ognisku drugi flisak z fajką w zębach zakrzątnął się i, podawszy chłopcu garnek gorącego żuru, wrócił na swe dawne miejsce.

— Niech ji, — rzekł.

— Niech se poji, — dodał stary.

Cisza zaległa. Słychać było, jak chłopy w szczękach niezłomnych miażdżą chleb, podlany, zwilżony, rozrobiony kwaśnym żurem i śliną sprawiedliwego głodu. Chudzik też nie dał się prosić, tylko zawijał, aż mu w skroniach trzeszczało.

Dobrze było. Ogień coś tym trzaskaniem płomieni pytlował i ranną ciszę bruździł; chłopy mlaskały, ów twardy chleb, językiem niby kijanką rozgłośnie przygniatając, a łyżki na krawędzi garnków chrapliwie skrzypiące pokazywały, że statecznie ludzie jedzą i potrzebnie.

Smakował Chudzikowi ten żur, Jezus! — jak smakował. Kwaśne to było, że ci gębę ściągało, ale nie nadto, tylko w miarę... Nie ugryzła cię ta kwaśność, a i owszem, im więcej jadłeś, tym cię więcej swą kisłą potęgą radowała.

Gęste, po wysuszonym przełyku szło rozważnie, jak dobre słowo rzeczone w ciężki czas, dając otuchę i ciepło. I dokumentne to było. Kiedyś ledwie kilka łyżek przełknął, toś zrazu czuł, żeś w sedno spraw swych i kłopotów ugodził, człeku, że zaspokajasz nareszcie ten brzuch niesforny i nienasycony.

Podjadł se Chudzik, skromnie powstał, miseczkę przypochlebnie na miejsce wedle ogniska odstawił i wziął się do roboty.

Właściwie, to śpiewać mu się chciało z tego dobrodziejstwa, co je czuł teraz w żywocie słodką pogodą płynące. Ale się wstrzymał ze względu na flisaków.

Robotę zaczął. Przepatrzył se skorupki, przymierzył, przycelował tym bokiem i tamtym, tym do tego i tamtego, cierpliwie i chytrze. Przymierzywszy, zlepił. Zlepiwszy — z drucianego krążka wywinął drut, błyszczący, niby włosie, a wykrętny, nieustępliwy i nieusłuchany. Co-nie-co wymierzył, ile trzeba było zmiarkowawszy. Obcążkami, niby tym pyskiem psim, drut chwycił, zgiął i ugryzł, — czyli odciął. A potem garnek zlepiony wgrążył se Chudzik w brzuch, tak miarkując, aby się naczynie na podołku między podniesionemi udami a piersią przytrzymującą statecznie ustaliło. Wysunięty ję-

zyk zębami przyłapał, uszy od uwagi i namysłu zaczerwienione nastawił i wziął się do pracy ostatecznej.

Zaczepił tedy o garnka kant drut na ząbek zakręcony. Przez denko zwinnie przeciągnął, zaczepił z drugiej strony, a potym na krzyż, a potym w gwiazdę. Na środku gwiazdy skręcił końce drutu w warkoczyk i stąd dalej na prawo i lewo, z oczka na oczko.

Z kłębu, niby z kądzieli owo włosie, coraz więcej drutu troczył, raz wraz stopą w kierpieć obutą kłąb dalej od siebie kopiąc.

Śmigała w rannym słońcu ta nić żelazna, którą Chudzik garnek rozbity od spodu w znaki gwiazdy oszywał, a paluchy chłopaka, z pozoru niezgrabne, powiedziałbyś wąłkonie, lub niedorajdy, zgrabnie się przy robocie zwijały. Każdy za siebie swój rozum miał, mimo, że wszystkimi świadoma dłoń rządziła.

I znów mu drutu brakło i znów se go, obcęgami w powietrzu szczeknąwszy, uciął, oczko palcami ugniótł, w zębach ścisnął, — drut w świder splótł i jął drutować dalej i tym drutem, w czworoboki zaginanym, sczepionym mocno, garnek okrążał, spajał, spoił, — aż się klej z czerepów krawędziami wypacał i wyci-

skał, aż skorupy podołkiem przychwycone postękiwały.

I tak działał, kręcił i wiercił, jakby nie drutem, a tą rodzoną myślą własną ów garnek do kupy skupić miał.

Dobrze mu się pracowało. Złotym słońcem po głowie głaskany, zdrowo pojedzony, siedzący na krawędzi galaru nad tą wodą Wisły, bardziej świetlistą niż blacha, — chybotając się na mocnych pośladkach, pracował se Chudzik w to słoneczne rano. Nie czuł, że mu się palce na drucie jak druty gną i na obcęgach strzępią... Że mu oczy potem zachodzą, że zgryziony, przed wargi wysunięty język schnie, a grzbiet wysilony drętwieje. Nie znał Chudzik fatygi ani żadnej udręki, ani wcale mitręgi...

Zaś gdy mu tak robota szła i w czynnych palcach rajdosząc się gadała, grała i śpiewała, myślał se...

Ze skrzypem drutu, z pochrzęstem czerepów stękających pełgała myśl Chudzikowa coraz dalej i dalej od tego, co jawne jest, aż do jakiegoś kresu, a od kresu owego, niby w jakieś pole cudne bardzo, mało znane i szczęsne...

Więc myślał se Chudzik, myślami na wsze strony, niby koń uchem, strzygąc, o tym, gdyby

mu to kiedy cały galar zdrutować przyszło, — żeby zrobił...

O tym, gdyby mu kiedy całe to miasto Kraków, odrutować przyszło: żeby się namyślił, pokruszone czerepy zmyślnie złożył — i odrutował...

I gdyby mu cały ten świat, odrutować przyszło, — żeby się w kupę zebrał, w sobie rozognił i dechu w płuca wziął... I żeby wtedy zamiast drutu promień z cyferblatu słońca zdarł, i żeby onym promieniem cały świat rozbity w całość drutował...

PRACZKA

Ręce chluszczą, pluszczą, chlupią, chlapią, to kłusem drobią, to na wyrypy cwałem rwą. Moc się zalęgła w nich niestrudzona i podrywa i pędzi w skrętach drżących. Plusk wody wilgnym nawrotem owija dłonie, a rozczapierzone palce wpijają się w ochłap płótna, nawłóczą go na się i zwłóczą, suną, brużdżą, i biją.

Wreszcie dość!

Unoszą się piersi wgórę wysoko, jak najwyżej. Praczka wciąga i chłonie powietrze. Głębiej odetchnąć nie zdoła, a chce głębiej i jeszcze głębiej...

Obziera się, prostując grzbiet.

Para wypełnia całą izbę. Pod ścianami, na zatarapconej podłodze leżą toboły bielizny. W kącie rozżarzony komin charcze, chrapie i kurzy słodkawym czadem węgla. Na blachach tańczą błyski skier, z przykrytych saganów dymi i wypryskują strugi kipiącej wody. Wśród swędu kręci się i niewidzialnym wyzie-

wem rozściela durzący zapach krochmalu, gęsta woń brudnej, chorej wody i zaduch bielizny.

Lecz dalej!

Ręce chluszczą, chlapią, znów kłusem drobią, to na wyrypy cwałem rwą i, pochwycone pędem roboty gonią w podrygach.

Od chwili do chwili coś się w płomienistych trzewiach przerwie i ogień z trzaskiem na ruszt rymnie. To znów zadrży pokrywa saganu, jakby tam w garnku żywe stworzenie trwało w bólu niesamowitym...

Praczka to pierze, to ustaje, wpatrzona w balję — pełne, mokre, brudem ciekące pole pracy.

Po jednej stronie już odeprane sztuki, po drugiej te, które właśnie przeprać należy. Sąd, — dwie kupy — szale dobrego i złego, miara ciągłego trudu...

W pośrodku chwiejnym grzbietem wyrasta kopica piany. Zasiał ją lśnieniem blady poblask, prószący z okna. Wgłąb przeciekł, w oczkach siatki świeci, a na wierzchu niebieską pogodą wybłyskuje.

Przycicha suterena. W kominie równym cięgiem huczy powietrze. Bunt układa się w saganie i zlewa w rzewny lament. Prawie nie słychać zegara, co czas cedzi i odmierza,

na jedną stronę utykając. W półciszy wyraźnie się klei lepki szept śliskich mydlin...

Na chwilę przywarły ręce praczki do dna balji.

Ciepłym puchem owija je i tuli mydlina. Zaś oczka piany jedne po drugich gasną. Niebieska ich poświata płynie z warstwy na warstwę wdół, coraz niżej i niżej... Słychać, jak oczka nikną w pustce. Wilgotny, cichy szept wypełza z balji, drży w powietrzu, niewysłuchanym ubłaganiem wałęsa się przy ścianach.

Jak z pod jarzma wychyla praczka głowę. Ostrożnie prostuje zgięty grzbiet. Z rozwartych oczu ucieka tęczowy łachman łuny przetężenia. Tej łuny, która nawiedza długo przy pracy schylone skronie...

Nie patrzy na ściany, spocone gęstą cieczą zaduchu. Nie wodzi oczyma po niskim stropie sutereny. Bo nad suteroną piętrzy się duży, wysoki dom i oknami spoziera w pełny świat...

Praczka przedsię patrzy w mały prostokąt okna, wyniesiony ponad twardą linję ulicznego chodnika wąskim skrawkiem światła...

Światło nie świeże, nie pierwszej wody i nie pierwszej młodości... Przenicowane, przechodzone, — z drugiej ręki. Tyle go jest, ile na płat okienny raczyły puścić piętra, ile się

okruchem wylśnić i odbić zdoła na murze kamienicy z naprzeciwka.

Lecz dalej!...

Prać, bieliznę w wodzie mierzwić, odęte poszewki gnieść, mięsić, tłumić, robotę mydłem trzeć; a potym suswalić na prawo, lewo, na płask, na krzyż, na wzdłuż...

Zajadłej pracy potakiwała do krawędzi balji uczepiona wyżymaczka.

Ma korbę na boku suchą, twardą, jak uschłe, wywrotne, ramię strzygi. Ta korba kręci ostre szczęki śrub, co się wzajem gryzą i żują. Skrzętna złość żrących się szczęk porusza białe, ściśle zwarte wargi, — istne usta, z dwóch wałków gumy złożone. Te usta sączą przez się, raz po raz wystawiają biały język wyżętej sztuki i cicho zsuwają w kosz.

Znów w płomienistej czeluści komina chrupnęły ogniste żebra... Kręty syk zygzakiem wypełzł z saganu na blachę.

Za oknem po chodniku tętniły coraz częstsze kroki ludzkie.

Cień szybko wpadał do sutereny, niby znak złowróżbny giął się po ścianach, uciekał.

Spoczęła w tej chwili zachodu słońca.

Balja dyszy... Plaster mydlin — zmordo-

wane płuco tęczowe — legło między kupami roboty i kona...

Nagle, jakby się za miastem straszne potwory zerwały... Taki ryk buchnął z kominów fabrycznych, przeraźliwy i jednostajny.

Po długiej chwili zmnożyły się na prostokącie okna kąty nóg. Szły jedne za drugiemi, ciężkie, czarne, w przechodzie to zwarte, to rozwarte — czarne nożyce, okrakiem po bruku kroczące.

Praczka wytarła ręce i, rozniecіwszy mętną, złotą łzę kuchennej lampki, sypnęła w otwarty pysk komina węgiel, — czarne, sytne jadło wszystkich ognisk.

Warknęła przeciągle para i zaduch przesłonił izbę.

Sporządziwszy, co należy, znów stanęła za balją.

Ręce chluszczą, pluszczą, chlupią i chlapią, to kłusem drobią, to na wyrypy cwałem rwą. Plusk wody wilgnym nawrotem palce okręca, a dłonie rozczapierzone, jak raki, kraby, nawłóczą na się bieliznę i zwłóczą, suną, bruździą, biją i tną...

Gorąco.

Kolczugą potu grzbiet się kryje, dygocą spocone piersi w uciążliwym bezustanku.

Nogami, zda się, wrosła w ten dookolny deptak a przecież prędko tchnie... Bo chociaż nogi stoją, to ręce bieżą, kłusują, z wody się wyciągają, człapią śmiało czynne i zwinne.

Ubywa i przybywa, maleje i rośnie to jedna kupa, to druga. A wpośrodku rajdosi się, szeleści i mlaszcze jezioro brudu.

Ogień trzaska, para wciąż pryska, lampa osnuwa się zwolna czarną rzęsą kopciu. Za oknem, po ulicy, cieniem nożyc tnących mija przechodzeń. Czasem łoskot powolnego furgonu zatarga szklaną piersią szyb.

Ona zaś w balji śpieszy, bieży, kłusuje...

Płynął równo w ciemną głąb nocy szary wieczór.

Musiała przestać. Należało wyważyć czop i brudną wodę z balji precz odprowadzić. Łakome syrpanie ściekających resztek rozległo się w izbie.

Trza było zmienić robotę, bo dalej już nie sposób. Rozmiękłe dłonie, wystrzępione, stargane palce nie chciały służyć więcej... Ból osnuwał bezwładne ręce. Twarz zdała się samej sobie ważyć, ciążyć, na szczękach wisieć, zbrzęknięta porysowana jak szpilką trawiącym zgryzem sody.

Wlała zimną wodę i rozczyniła woreczek

farbki. Zmęczone palce dla odpoczynku i dla ochłody pluskały chętnie w niebieskim przezroczu. Kolisko błękitu, uwięzionego w balji, dawało radość współzamkniętym źrenicom.

Ręce biegły, myśl się po jakichś zrębach słaniała nadwątlona...

Czarnemi nożycami rzadziej i rzadziej cięły kroki przechodnia zapocony prostokąt okna. Zegar przedzwonił godzinę, a zabłąkane razy uderzeń — niby śpiżowe klucze padały z czarnego nieba na bruk kamienny.

Zakrzątnęła się koło przedostatnich robót dnia.

W kącie, — przy kupie właśnie dziś odebranej bielizny, aby rozdzielić, porachować i wyznaczyć. Brała pokolei długie czarne węgorze pończoch, — koszule, których sponiewierane piersi, gięły się w prawo i w lewo — wykręcone łazanki mankietów, — pogięte nogawki, jakby zgruchotane nogi... Sztukę po sztuce znaczyła czerwoną nicią w kreski, krzyże, czy węzły.

Jak gdyby cierń igły wyżymał z palców krew i ze sztuki na sztukę ronił czerwony ślad...

Wreszcie uniosła się, by w pierwszej wo-

dzie złądzić pracę jutrzejszą. Znów war zawarczał w balji, a ręce skoczyły w pląs.

Myśli ciężkie, porwane, jak te obrzękłe dłonie, snuć się jęły w zwieszonej głowie...

I znów spadły w głębię nocy ciężkie uderzenia zegarów, — kroki, któremi czas depcze chwile i po chwilach w wieczność kroczy...

Zrazu pojedyńcze, częste, częstsze, wreszcie tłumne stąpania lekkim gradem przebiegły po chodniku. Ostatni ludzie miejskiego dnia, z wieczornych uciech i zabaw...

Zaś dłonie na schyłku sił, cięższe, niż młyńskie kamienie, mielą, piorą i trą... Biegną w locie skręconym, chluszczą, pluszczą i chlapią, to kłusem drobią, to na wyrypy cwałem rwą... Woda owija dłonie, palce się wpiły w płótno, nawłóczą go na się i zwłóczą, brużdżą, sieką i mną...

SZKLARZ

Szklarz wszedł i czekał.

Leżało tu wszędzie szkło, pochowane w wielkich zbijanych pakach, niby w kojcach.

Płyta z płytą zwarta, warstwa na warstwie w zieloną głębię zastygła, głębia w jeszcze szerszym odmęcie lśnienia pogrążona.

Chyba, że nie szkło, a blask dzienny, cięty na błamy, plastry i plastereczki...

Toczył się tu wciąż po piętrach, gankach, i strychach gryzący zgrzyt składanych na się tafel i zjadliwy pisk rznącego diamentu.

Przesłyszeć się mogło, że nie szkło, a wióry i drzazgi lodu lecą z pod sinych palców człowieka. Że paki i składy nie tok diamentu przenika, a syczący, wartki prąd mrozu...

Hala budowana była z czarnego żelaza i matowych, giętych szyb, które ślizgą tkanką pięły się wśród ostrego szkieletu budowy ku szczytowi.

Wszędzie wirował i zgrzytał pryskliwy nurt

diamentowego zgryzu, a ze skrzyni do skrzyni szedł wciąż świszczący chrzęst i skrzyp...

Człowiek, przylepły do szczytu budowy, spostrzegł nareszcie czekającego w dole i jął zstępować po skręconym świdrze schodów. Usypywały się z nich białym łyskiem cienkie płatki szkliwa, a szron i proch rozpiłowanych tafel zgrzytał piskliwie pod nogami idącego.

Kryształowem echem zaśmiała się hala.

Na chwilę wyjrzało słońce z za chmur. Gęsta flegma matowych szyb budynku, nabiegła bursztynowym lśnieniem, które zakrzepło ściśle na oknach, a przez wybite dziury ćwiekami blasku wbiło się do wnętrza.

Nagle ze świstem stutysięcznych rózek wpadł wicher do hali, wzburzonym wiechciem piachu sprał klepisko, wwiercił się między głębokie chropowate pachwiny skrzyń, wyrwał skądś mierzwę okrawków szklanych i hałaśliwie opluł niemi cały gmach.

Człowiek, który zeszedł był zgóry, zamknął wrota.

Zrobiło się mroczno, lecz spokojniej, mimo, że gmach, owiązany szczelnie przędziwem wiatru, trząsł się i dygotał...

Przycichło.

Po hali raz wraz wirował i zgrzytał ścisłą wartką strugą pryskliwy nurt diamentowego zgryzu, a ze skrzyni do skrzyni szedł wciąż świszczący chrzęst i skrzyp...

Szklarz nabył od hurtownika zapas szyb, ustawił je w formę. Formę zaczepił na plecach i ruszył na miasto.

Ruszył przecie snuć to szkło po dzielnicy, słonić jego sztywnem ciałem domy przed wiatrem, od hałasu grodzić, zatykać i przesłaniać...

Ulice omiatał suchy wicher. Pletwą piachu klaskał w blaszane szyldy, niecił kurzawę na gościńcu, a wedle chodników zganiał śmieci do kupy, biegnące w podskokach przyziemnych z miejsca na miejsce. Okoniem stawiał się względem śpieszących ludzi i ciągnął i targał im odzież.

Mijali jedni za drugiemi, niby wielkie rozwichrzone strzępy, lecące niewiadomo skąd i dokąd.

Wciąż nie zdążają, już się spóźnili, już beznadziejnie w tyle pozostali... Już ich wyprzedza łopotliwy pośpiech i niesforne wybieganie szat...

Mężczyźni w długich szalach walczą z niewidocznym biesem, który porwał końce wedle

szyi skręconych szmat i rwie, zaciska, szyje zadusić myśli... Kobiety w uplocie sukien walczą z oschłą przekorą, która im suknie do góry rwie, pnie i zarzuca. Dzieci płaczą na ten wicher, co im w oczy dymem brudnego miału prószy i sypkim swiądem ciekawe źrenice przesłania.

Szklarz idzie wśród wichru ostrożnie, zaś dygocąca szyba chrzęści i skrzypi nad uchem: że po dzielnicy snuje szkło, rozpina bielmo lodowate, na twardych ramach nosi zimną ciepła przegrodę on, gnany wiatrem szklarz...

Gdyby nie on, toby im w domach, izbach, pokojach syczał pęd uszczypliwy, toby im szydłem przeciągów uszy przeszywał, toby im gęstą nacią zawieruchy mieszkania trzepał. I mieliby u siebie w domu, jak mają na ulicy, że ich wlecze i dusi, dusi i pędzi, pędzi i gna, gna, rwie i pcha...

Przez gęstą pleśń ciężkich chmur, przedarł się promień słońca. Za pierwszym jeszcze kilka, a wszystkie promienistą więzią krwawych ostrzy wbiły się w miasto. Zrumieniło się śliskie koryto ulicy, złota rdza zażgliła w szybach, zaś na dachy wypełzły blaszane gadziny połysków.

Szedł wspaniałą dzielnicą.

Tu, z cieplarnianych czeluści wypełzły za ogromną szybę białe bzy, róże, goździki, konwalje i skręciły się w zawieruchę puszystych kiści. Tam dyszą na szybę krągłe brzuchy chleba i długie, słodkie warkocze bułek. Ówdzie w cukierni, rzędami kryształowych butelek od góry do dołu płynie tęczowa smuga soków, a na białych tacach leżą pstrokate grzędy ciastek.

Jeszcze dalej całe szeregi szyb, a z za nich wyglądają na miasto cudnie postrojeni panowie i panie, woskowe lalki o twardych, szklanych oczach. Tu znów, za szybą, zlaną posuwistym deszczem łańcuszków złotych i srebrnych, lśniły na aksamicie klejnoty. Wielki koszt palił się w nich chełpliwie tysiącem blasków. Tam dalej z czerwieni sukna widniały śliskie ostrza nożów — niby białe wargi, przywarte chciwie do mięsa.

Wszystko, co jest, jest za szybą...

Wyszedł na górę, skąd biegł daleki widok na miasto, na jego stoki coraz niższe, aż hen ku przedmieściu, gdzie tęchną zmurszałe rudery i wiją się robaczywe parkany. Gdzie na rozkisłych nieużytkach gęstą odrą czerwienieją rumowiska cegieł, a zakaźny wilk pleśni toczy szczerbate gnaty opuszczonych domostw.

Wychwierutać, wykręcić z zawiasów ramę okienną, złożyć to na podłodze i, wyłupując rozbitą szybę, rwać własnej twarzy podobiznę, w nachyleniu odbitą na szkle...

Wstawić nową taflę, wylepić ją przy ramie ciepłą krawędzią ugniecionego kitu, a potem, uwiesiwszy się na wrębie muru, napowrót wkręcić w zawiasy...

Chronił szkłem od mrozu i wichru migotliwe ślepka wysokich wieżyc kościoła. Wstawiał skośny zez kryształu w wybałuszone przyczółki bankierskich willi, przezroczystym lodem wykładał zdziwione, wysokie okna pałaców. Zaś wychylony ze szczytowych okien widział miasto w kupę zbite, spłaszczone, dyszące ciągłym gwarem.

Wiatr wydzierał z najeżonych kominów białe czuby pary i niesforne strumienie dymu. To znów pędził z niebotycznych kominów roje skier... Lub znęcał się jeszcze srożej i ryczącym gwizdawom wtłaczał napowrót w pełne sadzy i płomienia gardziele ten ich ryk rozsierdzony.

Z szerokiego placu wziął się szklarz wdół.

Szedł leczyć małe, zawsze mętne i dymne okienka, z których szyby, jak łzy — płynęły precz...

Tu go czekała nigdy nieskończona robota. Tu wstawiał skąpe łaty kwarcu, który nie mógł nigdy wróść w nadłamane, obojczyki ściśniętych klatek okiennych.

Policzywszy się z ludźmi, zbierał narzędzia.

Krzywonogie dzieci skupiły się przy oknie, by wyglądać na czarną ulicę.

Wyszedł.

U góry z okien w okna na przepych, — tu oknami w okna na nędzę patrzą się ludzie i milczą...

Zaś on, szklarz, chodzi, biega i lata... Wędruje od jednych do drugich, między gwar ulic, wlepiając sztywne bielmo w twardą budowę miasta.

I sprawia, — że jedni drugich nie słyszą...

Śpijcież domy, ludzie i okna!.. —

Szklarz zbudzi!

Szlochem pęklizn zapłaczą okienka!.. Piwonją wykwitnie wam z szyby krwawa pięść... Czerwoną głownią z rozkruszonego szkła wytryśnie!!!

HYCEL

Tu mieszka, — na wydmie, na wydmuchu, na odsłoniętym hylu. Tu pod pokrywą krzywych murków wrogo sprawuje srogie rzemiosło...

Za najdalszą okrainą miasta, na rozłogach przez zamieć ulizanych, gładkich jak skóra zleniała... Na ziemi pod miasto nieużytej, brudem usłanej, wzgardliwie odtrąconej...

Tu, na tej glebie, co biegnie wdal porywem skalistych pagórków, wyniósł hycel sromotne próchno swej budy.

Wdół posępnego siedliska sączą się żółte, spadziste drogi, jak z głowy pasorzyta wyrastające macki zachłannych pochwytów...

W jesiennym mroku, gdy dymna mgła rozścieli się powszędy, zda się hyclowska siedziba i drogi dookolne, — drapieżnym olbrzymim pająkiem, co wylągł się z ugoru i snuje pajęczynę szubienicznych sznurów, a sznury w pętle stryków wiąże...

Hycel tu mieszka sam...

Sam rano, wieczorem, we dnie i w nocy, w jesieni, w zimie, w lecie i na wiosnę, z ohydnym łupem łowów.

Mija upalna pogoda. Opada pył gorący, co zarodem wścieklizny krążył, i jak złociste szaleństwo słaniał się nad murami. Wraz z pogodą mija ta sfora wyczerpanych psów, które, przylegszy do cuchnących ścian gościnnego potrzasku, z krasnym płatem wywieszonych jęzorów, robiąc bokami, skuczały na swój los upalny, niedrożny i bezwodny.

Już dawno z nich hycel tłuszcz wytoczył...

Mija jesień w nawłokach rozchełtanej mgły, krwawą rdzą nicowana. Kwas, zgaga, śniedź tchnie ze wszystkich dołów, a wyrwy podmiejskie cuchną, jak zarażone usta... Drogi, z osady hycla w miasto wiodące, rzekłbyś dżdżownice rwą się i strzępią, daleko wnikając w grunt nieużyty.

Na każdym skręcie, pod każdą grudą czyha śliski upadek... Koniom nogi podbija, na butach człowieka narasta, okratowaną karetę hycla trzęsie, telepie, pcha na wyboje, wykroty...

Wokoło samotnej siedziby, zapada głęboka obraza pól milczących. Deszczowe krople docinkiem plusku tną, cmokają po wygonach, ostatnie życie ssą z rozpękniętego padołu.

Wśród nocy cięższej niż niedola, straszniejszej od zwątpienia, w okratowanym więzieniu bezsenna, bezdomna hołota psia tłoczy się z gorzkiemi łzami do krat, pianą bezsiły obmoczonych, i wyje aż do utraty tchu.

W jesiennej zawierusze zda się siedziba hyclowska miejscem zbrodni, przybytkiem kary, fabryką, która z żywych piersi gwizdawki uczyniwszy, świszcze hasło swych trybów bezlitosnych, — śmierć nieubłaganą...

Już i z tych piersi dawno wytoczył hycel tłuszcz...

Mija zima.

Obłoki zsiadają się i szarym strzępem lecą na pola. Ziemia puchnie. Ugór zamiejski niby biała purchawka wydyma się półkolem. W jej zgniłych przewodach dzień w dzień wodzi hycel swój pojazd czarny, wrzeszczący, rozszczekany. Wynędzniałe psy same idą pod stryk, patrząc człowiekowi w oczy strasznym spojrzeniem.

Spojrzeniem, z którego głód wyczerpał wszelką nadzieję...

Mija wiosna.

Miasto barwami, jako kwiat polny rozkwitło. Wstęgą zieleni opasały się pagórki. Dnie za dniami, niczem ptaki z rąk ptasznika, lecą

skore i lekkie. Cały świat stoi naścieżaj, podobny nieogarniętej pościeli, którą kwiatami potrząsło młode słońce. A w czarnym wozie oprawcy wraca do domu na szczyt hyclowskiej góry namiętny szał niepomnych psów... Zbuntowana radość kruszy zęby na kratach... Bezpańskie sobaki gzić, plenić się zamierzają...

Już i z nich wytoczył hycel tłuszcz popłatny...

Sam rano, wieczorem, we dnie i w nocy. W jesieni, w zimie, w lecie i na wiosnę...

— — — — — — — — — — — — — —

Rozwarł wrota, furgon przepuścił, potem obydwaj z pomocnikiem wyszli.

Idą drogą, niechcący, niczego nie wiedzący, pozorem niefrasobliwym zamaskowani, podczas gdy ztyłu hurgocze kratowana kareta... Sami zaś na strony zpodełba łypią, baczą, śledzą... Ich oko przetrząsuje spękaną dal ziemi, gruntownie rewidując.

Idą leniwo. Ale pod ociężałym pozorem czają się wybuchy skoku, nurtuje wartki, zwrotny bieg...

Na głowach mycki, kuse, oblepłe, żadnym wichrem nie zwiane. W oczach łasi się obława... W garści wędy jakoweś przykrótkie, kalekie...

W twardych butach, w skórzanych portkach, suną spokojnie, fałszem gapiostwa obleczeni, kiwający się zboku na bok.

Zastałe opilce, spasione gamonie, — nic więcej...

Dopiero, gdy kitę ogona, w parowie merdającą, spostrzegą, zmienią figury...

Teraz się wloką jeszcze wolniej, noga za nogą, — niezdary połamane.... Wszystko, wszystko widzą, jeno nie tego psa, co w dole padlinę wywąchuje i, to kopie, to, poniechawszy kopania, słucha roztropnie.

Z dwóch stron parowu zaszli, idą niechcący, z wędami w tyle ukrytemi...

Gdy wtem świsną i pędem skoczą!!.. Zadudni ziemia pod nogami, niby ten rwany włos zaszeleści stargana trawa. Po gałęziach trzeszczących, jak po tych kościach na skwarki uschłych, gonią za zwierzem.

Zaskowyczał, uszy stulił rwie pod górę.

Oni za nim nie z krzykiem, nie z wołaniem, — a ujadając! To wyślizgane buty ze szkarpów się spłożą, to się głowa między osty uwikła, to ręce, już chwytające, między ciernie głogów upadną...

Zwierz ciska się, siepie, przed strykiem zmyka.

W oczach się mnoży, — troi... Póki

się wreszcie nie wyłabuda, kitą przed oczyma nie machnie...

Szczeka, ujada, a oni za nim z przekleństwem...

Lecą, jeden od przodu, drugi zboku, nagonką i podstępem... Rozpięli się w trójkąt gonitwy, na zielonym błoniu tętniący. Trójkąt to spina się, to się już strykami na dobre sprzęga, to znów ruchliwe jego wierzchołki pryskają daleko od siebie.

Pierś zatknęło, wicher w uszach wyje, wałem rozgłosu huczy, gdy nogi rwą, pościgiem opętane...

Czarny, z ciemnym strykiem w ręku leci hycel, ogromnemu komarowi podobny. Nad wygolonym wertepem, trzęsie się drży, pole nogami strzyże.

Nagle krętą strugą ostrego żądła upadł stryk na łeb zwierzęcia i wypił z niego wszystek pęd...

Zdało się, że rozmach ucieczki, szyją odpływu nie mający, rozedmie czaszkę... Bo już się ślepia wybałuszyły i krasny jęzor po białej koronce zębów spłynął ku dołowi...

Hycel zelżył arkanów i z psem, opornie postępującym, zawrócił do kratowanego wozu.

Szli powoli, bo zwierz piętrzył grzbiet i czepiał się ziemi miłośnie. Więzły mu łapy

w trawie, pazury lgnęły do rozmiękłej gleby. Tak, jakby zwierzę z ziemią w jedność zespolić się chciało, ufne, że z całą ziemią zrośnięte, nie zmieści się na wozie...

Podeszli. Pies rzucił się między nogi, łkając... Lecz hycel w niecierpliwe dłonie, niby w namordnik, porwał mu pysk, stulił, i z pomocą towarzysza wtarabanił zwierzę na wóz.

Przedmieściami skierowali się ku miastu. Za wozem zebrała się gromada uliczników którzy czynili znaki zrozpaczonemu psu, przyjaźnie klepiąc się po udach, z pogwizdywaniem łaskawym. Zwierz przez łzy szczekał radośnie, płaszczył się na kratach i wołał o ratunek...

Hycle szli środkiem ulicy, — sami...

Dawano im wolną, pustą drogę. Przechodnie usuwali się na boki staranniej, niż się cofają przed pojazdem, co błotem pryska na strony.

Tłum dzieci, pauprów, andrusów wzbierał, coraz liczniejszy. Z ust do ust przelatywały słowa twarde, gardzące, jadowite, jak rój rozsierdzonych ós.

„Hycel, rakarz! Czyściciel! Oprawca!“

Szli, głusi na wzgardę, naprzód zaczepnie podani i czujnie śledzący.

Nagle tuż pod ich nogi, ni to ziarno gradowe, upadł kamień...

Hycel stanął i zwrócił się ku tłumowi...

Z gromadki malców, cały jeszcze w rzucie rozkołysany, jasnowłosy chłopaczek z tornistrem na plecach groził małą różową pięścią. Hycel wstrząsnął ramionami i ruszył dalej...

Znów żądła, ukłucia, drzazgi i zadry nawoływań poleciały z chodników.

„Rakarz, hycel! Czyściciel! Oprawca!"

„Kat!" — wrzasnął ktoś.

Rakarze zaś szli, głusi na wzgardę naprzód zaczepnie podani i czujnie śledzący.

Wtem rozlazły jakiś szczeniak wybiegł z za rogu ulicy... Hycel, niby samo zbawienie porwał stryk — skoczył naprzód...

Lecz z chodników poskoczyli malcy psiakowi na ratunek.

Hałas zakrzepł w piersiach.

Na ulicę spadła cisza niepokoju, kopana tupotem pogoni...

Ach! dopadnie psa hycel wreszcie!

Mały, jasnowłosy chłopaczek z tornistrem skoczył na przełaj...

Morda szczeniaka i jasnowłosa głowa zbratały się w oczach hycla.

Świsnął strykiem i, głowę chłopaka złowiwszy, ściągnął w błoto...

Na gościniec z wrzaskiem runął tłum...

SŁUGA

Rozmazał się świt na brudnych oknach kuchni i z czarnej toni jęły występować sprzęty.

Długi, kuchenny piec werznął się białym, czworogrannym kolanem w odmęt wiotkiego brzasku. Zielonawe lśnienie oblało łyżki i pokrywy, wiszące na ścianach. Na pyzatych garnkach zadrżały mętne pręgi światła.

Stanęła kuchnia, niby pogrążona w półprzezroczystej serwatce, napoły widzialna, napoły w ciemnościach jeszcze skryta.

Przebudzona sługa poziera przed się, robotę sobie tłumaczy i przedkłada.

Uprzątnąć.

Po węgiel skoczyć.

Drzazeg narąbać.

Po bułki.

Powstał w głowie ten hałas czynności rozkazanych. Każdej sprawie dogodzić, wszelakiej robocie nos utrzeć, pamiętać naprzód, wtył, na krzyż — że, nim mleko zakipi, buty oczyścić

można, lecz w międzyczasie, aby mleko nie wykipiało...

Z oddali ryknęło coś przewlekle. Ryknęło i ryczy i nie przestaje, a drze się coraz zajadlej... Fabryki.

A u wezgłowia sługi, jakby stanął sam gderliwy dzień i pośpiechem szczypie i siłą niewidzianą podrywa sługę z pościeli.

Wstała. Stoi.

Już se rozczochraną głowę przylizuje, już się ogarnia łapu-capu, na tym oto ziąbie rannym. Nawet Panu Jezusowi, co się w kuchennym czadzie na obrazku wędzi, słowa pociechy cisnąć nie zdąży, — ino się bierze do roboty.

Pierwsze, — ogień, ale gdzie klucz od komórki? Maca ręką na okapie, na blasze, ostrożnie palcami między garnki się wdaje, — niema tu.

Gorąco się robi człowiekowi...

Szuru, szuru, — po zadzierzystym stole. Aż w dołku ściska! Bo gdzieś się zadział ten klucz, że go niema, — musi, djabeł na nim siadł...

Ale przecie skoczy sługa po rozum do głowy. Siarnik o ścianę potarła. Skrzebnął, prysnął, w nosie zawiercił, zieloną kryzeczką

świetlistych skrzydełek zatrzepotał. I okazało się przy blasku łojówki...

Klucz, jak wół, leżał na wałkownicy, sama go tam przecie na noc położyła.

Więc klucz, toporek, świecę, zapałki od wypadku, skrzynkę na węgle w garść, byle cicho, bo państwo śpi, chustkę na głowę i do piwnicy.

Chłop wczoraj smolaków nie przywiózł, więc drzazeg narąbała, ale ostrożnie, bo serdeczny palec obierał, zaś wielki, przy szatkowaniu kapusty skaleczony, dotąd nie wydobrzał. Koślawe polano to się na ziemię kładzie, to sęk pod uderzenie nastawia, że ani rusz. Wreszcie zładziła wszystko.

Ale miała to wyjść z piwnicy, niczym nie pokrzepiona? Zestawiła kamień cierpliwy, denko z beczki ogórków odłożywszy i aksamitny kożuch pleśni ku środkowi zdmuchnąwszy, syrpnęła kilka łyków tego ogórkowego kwasu.

Teraz w kuchni, jak na rozstajnej drodze...

Rozpali się, czy nie?

I hakiem i łopatką i wreszcie pazurami wygrzebała popiół, co suchym śmierdzeniem gardło ściskał. Potym, najprzód papier, a na nim drewienka w stos. Płonie. Z języków

ognistych rodzą się większe, suche drzewo trzaska jak z bicza.

Tylko że wszystko ma swoje humory i brewerje. Pokręciło się coś nagle w czeluściach pieca. Wiatr mu coś tam wysoko w rurach pokiełbasił. Zamiast, żeby się palił po ludzku, to własnie kolka go sparła... Z głębin gruchnął pakuł sadzy, czy popiołu. Jak na drwiny, jeszcze wyższy jęzor ze szczapów wykwitł, liznął w prawo, w lewo i znikł. Na całą pociechę swędziły się strzępy papieru, tleniem zaobrębione.

Teraz pośpiesznie natkała mu w gardziel wiechci papieru i drzewa, póki się wreszcie nie przekonał.

Nastawiwszy wodę, wymknęła się cichcem do pokojów po rzeczy do czyszczenia. Złożyła to na kupę — i po bułki.

Deszczyk pluł zgóry na ulicę cienkim kapuśniakiem, wiatr spódnicą powiewał, aż się śmieciarze miejskie przystawiać chciały.

Spotkała się w sklepiku z koleżankami. Ta jej ostatnią nowość wyspowiadała o państwie, o służbie, czy się gdzie miejsce nie trafia i że znowu niedawno któraś do lafirynd przystała. Ale na uczciwe słowo czasu nie było,

bo się furmani schodzili, chłopy rubaszne i bezbożne.

Gdy wróciła do domu, już się państwo ruszyło. Dzieci trza było budzić, z łóżek ściągać, temu gąbkę, temu wodę, panu do golenia, — letniej.

Między jednym biegiem a drugim do stołu nakryć, buciki wypucować. Tego zapiąć, tu, „na niewidzianego“, wedle słów polecenia ręcznik z komody wygrzebać, tu trzewik zasznurować, czuwając poprzez wszystko, aby ogień nie wygasł.

A dziecku się książka zatarapciła, a pan palto zbłocone w pokoju na noc zostawił i teraz je duchem czyść, a tu kalosz do kubła wpadł, a tu przeciąg głowę człowiekowi urywa, a chłopiec czapkę zgubił, a na mleku kożuch się zrobił i cedzić trzeba, bo się kożuchów brzydzą.

Zaś drzwi kuchenne już się nie zamykają. To chłop ze smolakami, to mleczarka, żeby płacić, bo jutro nie przywiezie... To pani znowu płaci, tylko jej kluczy szukaj, bo są na kredensie, gdzie też ich wcale niema, — to jeszcze żydówka z jabłkami.

Wszyscy się śpieszą wielkim pośpiechem czekający: pan na szczotkę do kapelusza, dzieci już w rękawiczkach, żeby do szkoły

prowadzić, żydówka, przy jabłkach z westchnieniem siedząca, węglarz, co z podwórza na górę krzyczy i wyklina, i chłop, który ciągiem spluwa, a za każdym plunięciem służącą, jakby kto w serce żgał, — o tę podłogę czystą...

Panu wścibiła szczotkę, leci do dzieciaków. Te stoją złe, już je każda minuta piecze, i kręcą się, gdy im za ciasne kołnierze futrzane na brykającą haftkę spina. Tymczasem pani, choć słaba, w szlafroku rozchełtanym wyszła, że aż chłop od boskiej obrazy obruszył się — i targuje się, a żydówka nie słucha, tylko wciąż: „jak swoim dzieciom szczęścia życzę“...

Ale cały tumult przecięło jasne słowo, — parasol! To pan wołał od złości aż czerwony.

Że to deszcz wczoraj lał, więc na noc w kuchni parasol rozpiąć miała, aby przesechł. Ale go teraz nie widzi. Przepłoszona, jęła się kręcić jak fryga, drżące palce w trwodze z trzaskiem wyłamując.

Jest!

Jest za paką do śmieci. Otarła go ukradkiem, i niesie panu oburącz a w oczy patrzy z przeprosinami za wielki grzech.

Pan wydarł go niecierpliwie z usłużnych rąk i wyszedł, drzwiami trzasnąwszy tak głośno, że aż się młodszy chłopaczek rozślimaczył.

Wtedy się pani odwróciła, pana nieobecnego wspomniała i w dyrdy za nim do przedpokoju.

Sługa za nią, a dzieci drugiemi schodami w nogi do szkoły.

— Lećże — woła pani — pan mi pieniędzy na dziś nie zostawił.

Poleciała, dopadła, mocno ją spsioczył, pieniądze dał, zziajana wraca i słucha, jak pani obiad wymyśla.

Słucha, na pamiętliwych palcach zagina wszystko i przepowiada. Pamięć się mnoży, rozwidla z jednego potoku na coraz cieńsze, niemrawe, bo już i słucha człowiek i kręci się, ze stołu zbierając.

Pod okiem pani zamiata. Skwapliwie, prawomyślnie w kątach a pod szafami, by słychać było, że szczotka nie żartuje, lecz działa.

Z koszykiem na ramieniu leci na miasto.

Pokłócili się w jatkach z rzeźnikiem. Rozpychał się, roztrącał, w krwawy pień toporem rąbał, kości jej chciał wetknąć niemiłosiernie dużo. Skoczyła między stragany i te obmokłe parasole przekupek, rozpięte nisko, niczym rydze, — po włoszczyznę, marchew, śmietanę i co trzeba...

Ale wracała okrężną drogą. Aby przecho-

dzić koło kościoła, przed którym mokła na deszczu miejska nędza, starość bezdomna i kalectwo niepocieszone. Tu staruszkowi upatrzonemu, co niby ten gospodarz z kościoła wygnany w świtce podartej na mrozie zębami szczękał, dała swój krwawy grosz.

W domu wir... Ledwo zrzuci chustkę, ledwie marchew oskrobie, mięso na rosół nastawi, ziemniaki obierze, nawet czarne oczka nie bardzo wyłupując, ledwo tej kawiny pociągnie, usiadłszy na kuferku, nogami dyndając, stękliwie jedząca, a w szare niebo cicho zapatrzona, — gdy ją pani woła na pokoje...

Więc poduchy złóżek ściąga, kołdry strząsa, prześcieradła strzepuje, ściele i budowę pulchnych betów kapą zakrywa. Przyciera poduszkom rogów, a potym, jak w zad, w białą poszewkę trzepnie, by się przystojnie wzdęła.

Zlewa co żywo pański brud i pańską potrzebę w naczyniu.

Już miało się ku obiadowi. Z wież wszystkich zadzwonili na południe, trąbka zagrała na ulicy, że widać, jak codzień, poszli żołnierze na swoją strażę.

Tu już i sługa nie wytrzymała w cierpliwości — i z rąk marchwianych wszystko lecieć zaczęło. A jeszcze klusek niemal

Wałkownicę prędko zeskrobuje, na nią mąkę w śpiczasty pagórek sypie. Palcem pagórek przekłuwa i kręci, aż się z białego koliska puste miejsce wyłania. Jajko wbiła, wodą podlewa i nożem zwolna rozrabia, tak że białych kudełków ciasta coraz przybywa. Więc w palcach ściśniętych nóż spłozi i pagórkiem dłoni ciasto wyrabia.

Rozwałkowała, w paski złożyła, — będzie ciąć...

Palce po cieście drobią, przed nożem uciekają, a on za nimi w trop siecze, nabok wierzgnie, pokrajane kluseczki w stronę spędzając.

Obiad szczęśliwie wydała, a w kuchni teraz, jak na pobojowisku. Powszędy stoją tłuszczem okrzepłe talerze, noże, widelce i łyżki, a wszystko śliskie i lepkie.

Garnek z odcedzoną włoszczyzną ustawiła na stole. Grzebie w kościach gorących, zatajony szpik wystukuje, zjada mięso, do gnatów gruzłami żył przywarte, poprzerastane, jędrne. Przełknęła, wodą popiła i, fartuchem czoło otarłszy, siedzi, aby wytchnąć.

Siedzi, dyszy błogo i myśli o tym statków myciu, o przepraniu pończoch dziecinnych, to jeszcze o znajomej. Ale białym, cichym skrzy-

dełkiem drzemka coraz w te myśli wpada i rozgania je i miecie i strzępi na płatki białe i złote. Płatki się fastrygują w skrzydła bratnie i lecą za okrainy miasta.

Ale mus czuwa. Nieumyte widelce do oczu skaczą, białe talerze brudem napominają...

Już stoi sługa za cebrzykiem, w ciepłych pomyjach grzebie, paznokcie na śliskiej garnków polewie tępi... Pracuje i w świat tęsknie spoziera przez mury i dachy do nieba, rzewnym głosem przyśpiewując.

Wspomina dzieje minione... Jesienne przymrozki, cukrem szronu do świata przypadłe, skrzyp studni wiejskich i tę właśnie śpiewkę, co przez mgły płuży samotna... I południe, gdy słońce jak fałszywy pieniądz ze stropu chmur zezuje, i ten wieczór niski, przyziemny, kiedy się dusza w śpiewaniu twardym rozwarła. Rozwartą, — już się nie zawrze... Bo jako nieśmiertelnik nie uschnie, tako ona nie przeminie...

Posprzątała, poszorowała, teraz w nagrodę chudobą się swą nacieszy. Otwiera zielony kufer, — jabłkami z niego pachnie, jak z raju, — ściany obrazkami wyklejone.

Na samym wierzchu leży chustka do wyjścia — sam aksamit, czysta wełna.

Obok książka do modlenia. Dalej pudełko z broszkami. Dwie drużne ręce w kości wyrżnięte, bukietem róży owiązane, splecione na dozgonną przyjaźń... Gołąb lecący z listem w dzióbku... I najładniejsze: gwiazda z granatów.

Obok pudełka w bibułkę zawinięta leży książeczka służbowa. Okładkę ma sino-szarą, zmierzchniętą, jak ta dola ludzka u obcych, nie na swoim... Stronice otłuszczone, zmięte, niby te dnie służebne i miesiące...

Tu właśnie wszywa się czarnym znakiem pańskich słów zasługa sługi... Że jest wierna, przywiązana, cicha i chętna, zdolna i posłuszna.

Będzie się modlić. Grubą książkę na podołku rozewrze, i ostrożnie palcem pierwszą literę słowa pokaże sobie. Pokaże, palcem podsadzi. Litery już ma wybrane, cóż, kiedy stoją na osobności, każda się w swoją stronę słania, a zgodzić się w wyraz nie chcą, ani rusz!... Litery się rozłażą, a Pan Jezus na chwalbę swoją niedoczekaną czeka, z obrazu patrzy...

Nie uradzi sługa czytaniem, i sama przed boże oblicze niesie swe sprawy.

Udobruchany Chrystus ręce bieluchne do ucałowania jej daje (w myślach napół drze-

miących) i idzie z nią cicho ścieżyną, naprzód łaskawie popycha, pośród jaśminów i lilji, — żwir gwiazd malutkich pod stopami mu dzwoni... Idą se razem, to znów na ławce spoczywają.

A dalej jakaś mgła kadzielna. Twarz jakaś patrzy, wąsiki się na niej ruszają... Ręce mężczyzny oplotły ją przez pół, po plecach głaszczą, tulą do piersi przeczystej, dźwiękiem dzwonu oddychającej...

Tu się urwało, bo ją wstyd niespodziany zdzielił...

Już po kolacji poszła do pani na rachunek.

Mięso, włoszczyzna, — a za włoszczyzną już nic nie widać, jak na przegonie.

Ale! Marchew, — kapusta, — już chyba wszystko... Myśli, że wszystko stanęło na wezwanie.

Każde swój koszt szczeblem wstawi. Słuszna drabinka z liczb się ukręci. A po drabince zejdzie na papier zgoda z tem, „co dostałaś“, i z tem, „coś wydała“.

Tymczasem nie! Coś się tam w trokach liczenia nie domyka, nie dopina, nie dociąga...

Łokieć jednej ręki w garści ukrzepiwszy, wzniesiony palec drugiej na czatach w kącie

ust postawiła i chce przypomnieć sobie, — co jeszcze?

Myśli... A myśl się jej mnie, sennością przytłumiona. To się znów strzępi, rozpycha, wzdyma, jak mętna bania... Tą chęcią wytężoną, jak ręką rozgorącowaną, łapie i maca sługa w ciemnościach niepamięci...

— Zamiast płakać, pamiętać trzeba, — mówi pani. Ręka panina wynosi się miękkim przegubem. Sługa całuje i dobrej nocy łasce pańskiej użyczywszy, idzie spać.

Zrzuca szatki, naśmierdłe wszelakim zapachem jadła i swądu. Cienki batożek z włosów zaplata i klęka do modlitwy.

Klęknęła, ręce złożyła. Już to źródełko modlitewne słowami bije i kluczy, jeno się przez nie sypią zapodziane grosze... Cień nieodgadnionego sprawunku ze słowa na słowo hyca, wszystkich dosiada, wszystkie dojeżdża i zwodzi...

Przyległa do poduszki, a jeszcze słuchem wierność, wraz z centami zapodzianą nieszczęśliwie, — wyśledzić chce.

Nie słychać śladów wierności nadwerężonej. Jeno za piecem grzebią się karaluchy. Spłakanym oczom cała ściana zdaje się ruszać i rozłazić...

Już szary odmęt skleja sprzęty i statki. Tylko sterczy jeszcze z głębiny wyraźnie ku łożu zwrócone, białe kolano pieca. Zbliża się, trwa na wyżynie, zwolna pada na piersi dławiącym tłokiem ucisku...

RZEŹNIK

Z drzew, kwitnących za parkanem, wiatr zrywał białe, wonne pierze listków i posypywał nimi brukowisko rzeźni, w blaskach słonecznych lśniące, niby ułożone z ogromnych rubinów.

Rzeźnik cisnął papierosa, który z sykiem zagasł w krwawym błocie, obrócił się na pięcie i wszedł pod ciemny strop budowy. W tej otchłani świeżego mięsa, zionącej słodkawym wyziewem, chłodno było, jak w grocie. Gęsty zapach rozdymał nozdrza, napełniał płuca, sadowił się gdzieś pod sercem i zwolna dusił je nieposkromioną czczością.

Słychać tu było bez przerwy wilgoć krwi. Ściekała między kamienie z odciętych już łbów zwierząt, krasną bańką bulgotała w obrzękłych wargach. Cicho się sączyła przez uszy i rozerwane chrapy. Z tułowiów, zawieszonych u stropu, płynęła wzdłuż ku szyjom, a stąd po przepiłowanych karkach na podłogę.

Głosy ludzkie, mlaszczące w czerwonym

błocie kroki, nawet zgiełkliwy śmiech wsiąkał i ginął w ustawicznym ciurkaniu czerwieni...

Wysoko w kątach rudej powały tkwiły ostre zęby kół śrubowych, haki, rozwidlone ćwieki i kłęby żelaznych sznurów.

Nie było widać ścian izby, a raczej mięso, wiszące u góry i dokoła, zdało się ścianą i sufitem. Tam właśnie, głęboko w rozpadlinach ścierwa, czarną nicią ruchliwego zajadu żerowały muchy.

Z pod krzepnącej posoki nie było widać kamieni. Podłoga miała pozór grząskiego bajora, na którego powierzchni — straszliwe muchomory, wodorosty, glisty i ropuchy, — unosiły się wyrwane trzewia zwierząt.

Napół obnażeni ludzie, jak wielkie, białoróżowe czerwy, uwijające się w ogromie tej mięsnej gardzieli, — patroszyli zaciekle rozwarte kadłuby zwierząt.

Nie ustawał ani na chwilę zgrzytliwy świst nożów, ostrzonych na długich śpikulcach i żelaznych osełkach. Spłoził się po żelastwie a złączony z poszmerem krwi, przeradzać się zdawał w lepki, sprośny śmiech.

Plaskanie mokrych szmat, któremi oklepywano dymiące ciała zwierząt, zwarty chrzęst zdzieranej skóry, suchy trzask piłowanych kości

mięszał się ustawicznie z beczeniem bydła, uwiązanego przy sąsiednich wrotach. Hałas i rumor wołów nikł co chwila w wartkim przeraźliwym kwiku świń, który wytryskał z sąsiędnich baraków i świdrującym tokiem przewiercał powietrze.

Rozległy się ciężkie, miarowe, dokładne kroki. Obok nich żmudne dreptanie. Wszedł człowiek, ciągnący sznur. Za nim wpadł wielki, rogaty cień... Siną tiarą przepełznął po czerwonym wnętrzu szopy i wsiąkł w powałę...

W drzwiach ukazało się białe, ciche, poważne bydlę...

Rzeźnik podciągnął portki wysoko w pasie, odwinął rękawy. Szczeliną przednich zębów splunął sykliwie. W głęboką twardą garść ujął drzewce obucha i czekał...

Zaskrzeczały koła i śruby przy suficie. Gibki krąg żelaziwa wiercił się, kracząc miarowo. Po chwili, jak straszny, spoisty śluz, zwisły ku ziemi dwie długie, krwią zbroczone liny. Założono je bydlęciu na nogi, wedle łba, bardzo zmyślnie. Tak, że musiało stać bez ruchu, owiązane...

Załaskotały noże, toczone na długich osełkach...

Ktoś strącił na ziemię wielką miedzianą misę. Dźwięcznie zahuczała na bruku.

Człowiek z wąskiem białem ostrzem w grubych szerokich wargach pociągnął zwierzę ku światłu.

Tu rzeźnik pojętną dłonią wyczuł ciepłe miejsce na czołowej kości, zapamiętał je okiem i odstąpił na dalekość rozmachu ręki...

Ludzie spojrzeli po sobie...

Oburącz ujął drzewce, zakończone żelaznym klocem. Mocarnemi guzami dłoni ścisnął je. Uniósł w górę... Kopiąc daleko od siebie gęste skrzepy błota, przetarł stopami brukowisko i pewną nogą się utwierdził...

Głowę zwierzęcia przechylano coraz wyżej, póki łeb nie stanął w jednej prawie linji z karkiem. Duże, ufające oczy wołu z bezbrzeżnym spokojem patrzyły wgórę...

Źrenice rzeźnika, zwęziły się straszliwie... Aż nagle ze szpar cieniuskich wybłysły szybkie, lodowate strzały...

Ramiona, zastygłe nad głową w stalowy klin, — jednym susem skoczyły naprzód... Razem z piersi zwierzęcia i człowieka wyrwał się świst...

Wół zachwiał się. Jakby w wielkim smutku i żałości pochylił głowę... Ciężkie westchnienie

rozparło mu nozdrza... Zmętniałe oczy stanęły w słup...

Zahuczał drugi, głuchy raz. Grzbiet wołu zelżał... Nogi zadrżały... Wyprężony ogon trząść począł chwostem i chlastać na wsze strony...

Raz trzeci wielkim uderzeniem, jak w mur, rąbnął obuch w czoło stworzenia. Jasny trzask wydarł się z czaszki...

Zwierzę runęło. Oczy jak krwawe jaja zadygotały w orbitach. Z pyska potoczyła się piana... Drgające nogi wątłym, daremnym ruchem grzęsły w powietrzu...

Pod gardziel przystawiono misę, do której gorącym ruczajem chlusnęła krew.

Chłopcy, miarowo przysiadając, pośladkami międlili wzdęte boki wołu.

Nastała cisza.

Słuchano uważnie płynnego szeptu w misie... Ten i ów spluwał. Ten i ów chrząkał, by zwilżyć wyschłe gardło.

Rzeźnik, wtył, odstąpiwszy ocierał drżącemi rękoma wilgotny obuch. Uspokoił się prawie całkiem. Tylko w skronie biła krew głośno...

Na ochłodę przełknął kawałek lodu.

Tymczasem rozpięte na sznurach cielsko

przewalili oprawcy nawznak i, z nożami w zaciśniętych zębach, obsiedli. Olbrzymi tułów zarysował się czewonemi szwami nacięcia. Brzuch jak kamizelę otwarto w pośrodku, obie poły waląc na strony. Znów pokwapiły się noże, prując przeponę. Mocny, ciepły smród wyłonił się z czeluści.

W rozwartym żywocie, jak w garze, gospodarzyć jęły skrzętne ręce. Sprawny czeladnik wywlekał długie jelita, serce, wyważył ogromny żołądek, jedno za drugim przesuwając po śliskiej podłodze na drugi koniec szopy. Białą utapraną we krwi skórę kopnął ktoś aż na próg.

Stąd wziął ją chłopiec-pomocnik i niby ciężką, mokrą guńkę zawrotem zwalił na wóz.

Zdzierać zaczęli błony, zmywać śluz, lub tu i ówdzie występującą jeszcze strugę krwi. Zawarczała piła przy kości, zaszczekał tasak i siekiera. Na ludzi śmignął szronem żółty tłuszcz.

Rzeźnik poszedł do nowej roboty. Znów badawczą, podstępną ręką zmacał wrażliwe miejsce cicho czekającego wołu. Znów ręce, zbrojne w straszliwy guz obucha, wytężył do rzutu.

Czy, że ludzie nieskładnie do dzieła się

wzięli, czy że zwierzę zamach młota dostrzegło, dość że cios celu nie dopiął, a całą siłą łupnął w bruk.

Wszczął się tumult i gonitwa.

Pysk wołu, za nozdrza przyśrubowany do kamienia, nurzał się w krwawym błocie. Spiętrzone cielsko to w tę to w ową stronę biegło półkołem. Twardy ogon siekącym chwostem prał oprawców, którzy gięli się w skokach, chcąc poskromić strwożone bydlę.

Już trzymają... Już czarną grudą przylgnęli do krzyża... Niczem rozbity bęben dudni rozparty brzuch wołu. Okute obcasy wpadają weń, jak w piernat...

Nad głową rzeźnika sterczy młot, gotów do skoku. Oczy zwężone pośrodkują chytrze... Krew wali w skroniach. Nim obuch żelazny skoczy, ona sama obuchem w skronie tłucze...

Zwierz się szamota, chrapy na kolcach strzępi...

Nareszcie! Czoło bydlęcia jak półmisek wyciąga się pod młot. Oczy je biorą spojrzeniem, — w obcęgi... Gnie się postać do rzutu. Obuch w strasznym rozmachu zaraz naodlew trzaśnie...

Jak głaz zwysoka na murawę ciśnięty, — dudni...

Napłask zwaliło się zwierzę o ziemię...

W wielkim gorącu ciała odstąpił rzeźnik. Po całym jego grzbiecie szło jeszcze skore wzruszenie...

Zabitego wołu powlekli ludzie, umiatając ciężkim trupem świeże kałuże krwi i białe błoto wypryśniętego mózgu.

Trwało długo...

Tymczasem blask nieba mącić się począł i gęstnieć. Cienie obok kwitnących drzew wydłużyły się i splotem sinych pręgów wpadły do rzeźni.

Rzeźnik cisnął w kąt obuch i przeszedł do sąsiednich jatek, gdzie czekano na niego z cielętami.

Niewielka to już była robota.

Cielątko sobie ustawił raz dwa, ciche, spokojne. Tylną nogę otoczył pętlicą. Przekręcił koło ze sznurem, aż cielak na tej drodze zadyndał. Poderżnęło się grdykę. Krew razem z czerwonemi łzami fontanną zabrzdąkała w misie...

Szło prędko...

Czas mijał, nie kulejąc.

Nagle ciszę niebios przeszpikowały twarde gwizdy fabrycznych kominów. Wrzaskiem

i wyciem zwaliła się na miasto godzina odpoczynku.

Napęczniałe od pracy i krwi ręce przemył sobie rzeźnik co nieco, zaćmił papierosa i wyszedł z cuchnącej budy na podwórze.

Słońce łyskało przed się w rudą kurzawę miasta.

Wysoko u granicy widnokręgów potworny gruczoł chmur puchł i olbrzymiał. Krwawy mrok chłynął na ziemię, na domy, gmachy, kościoły, zębatą żuchwą wśród nagich pól sterczące...

ROZNOSICIELKA DZIENNIKÓW

Deszcz się niósł skosem, chlapał w rynny, w ścieki pluł, szronem sypiąc w oczy. Wysoko nad latarniami i jeszcze wyżej nad domami, przeciągał się i bujał, niby drżąca chmura komarów. Przez ten deszcz, gęstą łachą wilgoci między niebem a ziemią rozesłany, przewijały się wystrzępione płaty śniegu.

Zaś owe płaty brał wiatr na błony zimnych skrzydeł i miótł i pędził i w trąbę skręcał bez końca...

Zdało się, że nad całem miastem nie smugi wichru w dal rwą, nie chłodu nurt przeciąga, lecz że gdzieś wyżej nad domami, zaplątawszy się między wieże kościołów ugrzązł ogromny gacek... Po ulicach trzepoce, na placach błony szarpie i czarnych skrzydeł wśród ulic zmieścić nie może i na przecznicach o kanty domów ze świstem je łamie, pruje i drze.

Ludzie śpieszą, dążą...

Tramwaje, jak płomieniste gąsienice, wloką

się jeden za drugim, na skrętach we mgle dzwonią, rzekłbyś zdrożone serca dzwonią w nich... Karety się plączą na wsze strony, a koni w błocie nie słychać, ni kół. Jak zapóźnione karawany mkną cicho i trwożnie. To znów mimo ciżbę przepychają się samochody, te ciężkie chrząszcze miasta, siejące na boki kleistą grudę błota. Raz wraz rozpryskuje się tłum, pojazdom drogę dając. A gdy miną, na nowo powleka i zaciąga się brudna droga czarnym mrowiem ludzi.

Z ulicy w ulicę i do placu, z placu na plac wedle czarnego zwału domów ciągną się równo sznury latarnianych świateł. Płyną, w gwiazdy się wiążą i znów się rozwiązują a wiatr je zasypuje, kurzem kominów mąci...

Wśród tego miasta, wyszedłszy z wąskich, niby głodem ściśniętych ulic, biegła śpiesząc i myśl rozbolałą w sobie ważąc...

W domu zostały dzieci. A te własne dzieci nie dziećmi się jej zdały ludzkiemi, lecz gromadą piskląt jaskółczych, głodem i chłodem spędzonych w jedną gromadę. A ta gromada zdała się jej jednym ciałem zziębniętym o kilku bladych ustach rozwartych, — o ustach głodnych...

Och, ty, jaskółko, ulubienico, co latasz

między niebem a ziemią, śmigle i śpiesznie, lekka, cóż ci to znaczy wyżywić twe pisklęta!

Gdy człowiek, choć mu się robota w ręku pali, choć mu się od łapczywego pośpiechu mąci, choć mu się nogi od biegu gną, choć piersi dążą, że aż wydążyć nie mogą, choć skronie tętnami młotów biją, choć się serce tłucze pośpiesznie, niby ten dzwon na pożar, — gdy człowiek, choć pada, nie wydąża...

Przybiegła jeszcze w porę...

W poczekalni, na ławach, koło ścian, siedziały koleżanki spracowanemi rękoma zaciągające szerokie chustki na piersi. Zamieniły między sobą to i tamto słowo utysku, podzieliły się wzajem westchnieniem, — gdy drzwi od drukarni rozwarto.

W szerokie, mocne fartuchy dostała każda umówioną liczbę numerów gazety.

Przewiązały chustę przez piersi, kto jakim skrawkiem mógł, i hajda!..

Z nieba na głowę się leje, — czymże to głowę okryć?... Chustka, krzyżem ciepła piersi nędzarki grzejąca, niby pomaga, a przecie wilgoć włóknami chłodu po ciele spływa i ziębi... Buciska się już dawno rozgrajdały, głośno po bruku mlaszczą...

Światło, co się w błocie przetyka, — to

6*

sam blask nożów skośnych, pod nogami grających... Nie blask, a one same, noże ostre, okrutne, po których człowiek ubogi stąpa, — na których wreszcie stopy rozpłatać musi...

Zawsze miała ten strach, że się spóźni i nie zdąży wdół miasta do agencji na sprzedaż uliczną. Wpadała pokolei od domu do domu, z sieni do sieni, ode drzwi do drzwi. Czepiając się poręczy, obiegała wysokie, ciche klatki schodowe, co chwilę przystając w utrudzeniu.

Skrzynki do listów na drzwiach, zimne gęby nienajedzone. W otwarte szmatę papierową wciśniesz i lecisz dalej... Ale są nieznośniejsze, zamknięte... Tym listwę, niby twardą wargę, podważyć musisz, a śpiesz się! Zmarznięte palce na żelaznej wardze tną ci się i siniaczą, toboł gazet ciągnie i waży...

Zaś gdy poroznosiłeś wszystko, leć wdół, chapnij twą rację z agencji, niby ten żywy słup stań na skrzyżowaniu miejskich dróg i wołaj:

„Gwiazda, Czas, Dzień, Wieczór, Ostatnia Chwila.“

Ludzie ją mijali, nie przystając, nie kupując, jakoby nie słyszeli. Więc się zebrała z resztkami sił i tchu. Zapaska, papierem

obciążona, cięła ją piłą przez biodra. Więc ulżywszy ciężaru, rękami podtrzymując, dalej krzyczała w dżdżyste, cztery końce świata:

„Gwiazda, Czas, Dzień, Wieczór, Ostatnia Chwila“...

Śnieg cicho głaskał czarne dachy domów i, niby blade piórka, po murach w wietrze pędził.

Co ta w gazetach stoi?... Literki odpocznięte, ogrągłe i tłuste... Papier, — makiem usypany.

Ale przecie nie na sen go ludzie biorą — a codzień, do czytania... I czytają se te słowa, zgrabnym drukiem powiedziane, — czytają...

„Gwiazda, Czas, Dzień, Wieczór, Ostatnia Chwila“ — woła dalej, przestępując z nogi na nogę.

Myśli się jej rozprzęgły... Zdaleka, w głębi widoku, u szczytu wielkich domów pyszny napis, piszący się na czarnej głębi nieba świetlistemi literami...

„Gwiazda, Czas, Dzień, Ostatnia Chwila!“— Głos się oberwał nagle. Wołanie uwięzło w ustach. Myśl ciężka utknęła w głowie. Ze wszystkich sił dała roznosicielka posłuch tej myśli... Że się w niej ogromne czciony podnoszą i napis ukręcić się pragnie...

Popisane są okna i drzwi, słupy tramwaje, kościoły... Ona sama, nosi w zapasce nadrukowanego słowa, jak maku. Wszędzie druk...

A jej stopy nieszczęsne, co uganiają po błocie, to dwa, wiecznym wyścigiem pokarane czcionki... I piszą, odciskają w tym błocie jedyne słowo: Głód!

Poszli spać ci, co pisali, a śpią, którym pisano...

Ten napis-by im cisnąć na domy, przewlec przez wszystkie drzwi, który jej stopy, wydeptują dzień cały — : Głód!!!...

WYCHODŹCA

Oberwane liście. Połamane gałęzie. Konary, rychło patrzeć, kiedy uschną... I oto pada drzewo, i już je ptacy pstrzą...

A tyś, człowieku, zdrów wyszarpnął się z objęcia rodzinnego zagona, — w latach młodości...

A tyś się, człowieku, mocą całą w moc ziemi wrośnięty, wyrwał i teraz ojczystą grudę strząsasz z siebie co żywo...

Niby ta woda z nadbitego dzbana, płyniesz precz — aż dzban pustką zadudni...

Otwierają się w piersiach prawdy i lament nad tą dolą pomyloną...

Dola ty jesteś ostra, krzemienna, nieużyta! Dolaś ty jest niesprawiedliwa... Tyś jest niedola!

W swe łapy porwałaś i dusisz głodny brzuch... Pod żebra wbiłaś gwoździe łaknienia... A w rękach zarodziłaś drżenie wysilne, a w nogach ciężar... Chlebem, dosytem kwitnie ziemia, aleś ty chleb i dosyt ukryła za

pazuchą i karmisz popiołem, tulisz w ciernie i częstujesz chorobą...

Więc gdy do tego przychodzi, żeś u siebie na ziemi nie gospodarz, a znajda, żeś mniej, niż ono drzewo, ledwie onego liść! Goniony, żeniony słotą i zawieruchą... Że twój trud, pot i krew ku doli twej nie ma wracać, a ma innym ziemię ugnoić, — nic ci nie zostaje, jak iść precz...

Zajdy pakować... Ze szmatami i pospołu wszystko cierpienie wtłamsić w podróżne troki. Że się tu słońce ukaże i zgaśnie i znów i znów — bez ciebie... Że się tu roki i lata w powrósło zdarzeń sercu bliskich ukręcą — bez ciebie...

Tak, tak, tak, — kuje długi pociąg ognisty, co niesie wychodźcę naprzód.

Tak, tak, tak — świat odpowiada. Rozgadała się noc, spłoszona przelotem żelaznego węża.

Wąż-ci to jest! Jelita ma podzielone na klatki. Połknął chmarę strapionej biedoty i ucieka, ucieka, — ucieka...

Ślepia mu czerwienią nabiegły. Paszcza dymi, ogniem bucha. Pędzi do morza... Nad zręby ziemi, — na kraj świata... Ludzi na skraju świata odda i wróci... Bo znów się nowi zbiorą...

Tak, tak, tak — kuje raz za razem świat czarny, z nocnego snu rozbudzony.

Ejże, więc tak bez końca, bez wytchnienia i bez nadziei? Bez końca niepobudowany, niewykupiony, na gospodarstwie dziesięciu palców, które się wszczepić nie mają w co? Bez końca będzie ta bieda zła naród z krajów jego nieść we zmienne świata strony? Bez końca, po ziemiach dzikich, do wiary niepodobnych, wśród ludów cudackich i krzewiny nieużytej?

Tak, tak, tak — kuje noc.

Napakowani — śledzie w beczce, ręce, nogi i głowy pomieszane. Ze stropu łyska światełko, po glansowanych deskach cieniutkiemi igłami się ślizga. Smutne, niemrawe, — zaduszne...

Wychodźca ruszył się. Nogi obrzękłe, dawno nierozzute piekły. W grzbiet weszła długa bolesna ciągota i żadnym przeciąganiem z pleców jej wywlec nie sposób. Głowa ciężka, kamienna... Huśtały się w niej tłumy myśli pamiętliwych, — o tej ucieczce...

Ranek ledwo tylko raz-drugi tchnął, gdy wychodźca z przytulonych do krzyża drożnego czworaków wykręcił się, na wóz zamówiony wskoczył, na wóz, z kompanją czekający.

Pojechali tą polską, chropowatą drogą, jak po tarku.

Na tym tareczku krwawe zacierki trze z własnych pięt o kamienie płużyświat, głodomór, włóczykij, obieżysas nienachodzony...

Przy wozie przepili luto. — Chałupy, jak te prawdziwki ze śmietany, łonią się i puczą z mgły. Po polach śnieżną krupą zalega czerstwy przymrozek. Jadą, kłapiąc zębami. Zimno, wiatr portki targa. Koniska drobią, — nie wiedzą!

Między ziemie wjechali uprawione. Łany się ciągną... Nie usiędzie już człek na słodkim podołku tej ziemi, nie pośpi...

Ale sam ocet w gardle i ocet w oczach, gdy wóz mija znajomków, nad polem schylonych w pracy.

Wykrzykują ci do tych.

Wychodźca natrzącha się, kpi mocno, obiecuje im, że ich jeszcze sam potem w świat wywabi... Turkot wartkim hałasem przegryza ludzką rozmowę. Ale się jeszcze widzą: Wychodźca ku nim z wozu machający, i oni, niby ule nad ziemią pochylone...

Aż się z oczu stracili.

Po bokach płyną sprawy znane i płyną, płyną, płyną — nienapatrzone...

Słońce się wsparło u stropu, bacznie świeci, podczas gdy obiad koło karczmy wypada. Butnie, mocno, głośno, bez kija nie przystępuj!

Czapy na bakier... Ślepia wyjaszczurzone to wódką się przesłaniają, to łzami... Ale gęba w gębę z trzaskiem strawę głoda.

Nagle słońce zakryto sobie czoło złociste białą płachtą chmury i zgasło... Żałoba dmuchnęła powszędy...

Wiatr dunął wśród skiby przycupnięty. Popłynął oziminami, w lasy się wdarł, z trzaskiem, stukiem, skowytem. Trąby kurzu kręci na gościńcach, który się podnosi, wiruje głosem wielkim i domaga się, rzewnie domaga...

Wieczór zasypiał, noc się ścieliła, gdy dobrali się do lasu.

„Ociec" nadgraniczny, łysy, chudy jak gwóźdź, poprowadził ich mrokami... Szli cicho, potulnie, każdy z dobytkiem na plecach i z odpowiedzialnym kołem w garści.

Woda chlustała. To się grunt rozstępował, to znów sklepił twardo, to wielkie bochny kamienia kładł pod nogi.

Wzrok nie uświadczył na niebie jednej gwiazdy. Pokryły się.

Zamknęło niebo oczy na te przeprawy ludzkie...

„Ociec” im czuwać przykazał, wysmarkał się dokumentnie i znikł. Trzasnęły pod nim gałęzie i rozlał się w pustce nieprzeniknionej.

Ostali sami. Kilku legło, bo sen ich zmógł. Reszta czuwała. Jako apostołowie pańscy w ogrodach męki... Chrzęst płynął z starego ludu drzew.

Czy tylko słuchu tętnienie...

Zjawił się teraz ociec nadgraniczny i znowu powiódł. Cichcem, chyłkiem, szli jeden za drugim gęsiego. Ukazała się łysa polana. Rozkaz starego gęby im pozamykał...

Woda ciamkała. Brnęli głęboko po szyję, zostawiając za sobą łańcuch żywych ruchomych słupów, z których groźnie sterczały bagnety...

Po tamtej stronie przyjęła ich znów nędza ludzi chciwych, głodnych...

Rudy, kaprawy żyd zagonił do karczmy i zliczył. Pobrał pieniądze, dając wzamian przeróżne karty i bilety.

Porwała ich szacherka w śliskie łapy, oprzędła długim czasem postojów i przesiadań. Sypnęły się na ludzi nazwy po nazwach, kraje i miejscowości do przebycia. Jakieś papiery

fabrykować się jęły, a pieniądze wciąż supłać trza było z węzełków, z cholewy i z za pazuchy...

Przybyli do miasta polskiego, Krakowa. Ten na nich wejrzał smutnemi oknami starych pałaców. Jak mógł, pobłogosławił wysokim gołębnikiem wież.

Dziwno się tu zdało człowiekowi i straszno. Mgła, białą pleśnią mury żrąca, wlokła się wszędzie po kamieniach. Cichy ogród krwawym wieńcem uwiądu wieńczył miasto całe. Ogród — nie ogród, bodaj że cmentarz. Gdyż co krok z pomiędzy drzew i krzewów sterczały kamienne nagrobki. Nie rozejrzawszy się nawet, niemotą mnogich pomników żegnani szli na dworzec.

Bo tu ich właśnie handlarska umowa zobowiązała.

Wielki smutek zaciężył nad narodem zgonionym, mimo że ten i ów krzepił się przy ładzie walną gorącością napitku. Jak do tego ścierwa wrony, zleciały się do nich handlarze z pamiątkami, upominkiem płatnym i sprzętem wszelakim.

Tymczasem drzwi huknęły na dwie strony. Gad, już usłany na szynach, stał, sapiąc głośno. Cały tłum kupą wparł się w drzwi, niezaradny,

nieobrotny, zajdami obarczony. Ale konduktory słowem i pięścią zrobiły porządek, póki się wszystko do wozów nie wgramoliło.

Dym tytuniu przyćmił już i tak ciemne wnęki wagonów. Jazgot bab, pisk dzieci i płacz zmieszał się ze stukiem kół.

Tak, tak, tak — przytakują w nieskończoność.

W wagonach jedni śpiewali, drudzy wciąż jedli. Część się pośpiła, część oczami szeroko rozwartemi patrzyła na świat, deszczem pocięty i wtył uciekający.

Tak, tak, tak — gadają koła tyle razy...

Aż znów wrył się pociąg w szklaną norę stacyjnego podjazdu.

Ludzi z wagonu wygnano.

Poszli i górą i dołem, zabłąkani wśród tysiąca napisów i rąk papierzanych, na wszystkie strony wskazujących. Żydek się im po drodze zawieruszył, że już nic nie wiedzieli...

Ktoś im znów drogę wskazał.

A wtedy, jakby wiatr poderwał tę całą gromadę, poopieraną o kuferki, tłomoki i toboły. Zerwali się wszyscy na łapu-capu, lecieć po schodach kamiennych wdół. W rozkręt dróg wkręceni, ciskali się naoślep. Znów wypadli na świat boży między krasne glisty

szyn, między światła czerwone i zielone, bazyliszkowym okiem zgóry pozierające.

Grube, watowane władze, o tym spojrzeniu, co je czarny daszek zamydla, sklęły ich. Inni goście, porządnie ubrani, omijali pędzącą kupę wychodźców, niby to błoto. Z okien stacyjnych żygał na nich śmiech i politowanie. Mowa im uszy darła obca, żelazna.

Zbici w szarą gromadę, ławą, pędzący z miejsca na miejsce wiatrem ślepego pośpiechu gnani, w tej nocy, ostrością świateł pokłutej — wyglądali, jak kupa plewy... Wiatr porwał ją i niósł w nieznane dalekości. Kamienie tu nimi obsiewał...

Podczas gonitwy spłoszonej, raz po raz z hukiem wpadały na stację pociągi. Ledwo zipnęły, gdy znów je trąbka budzi do dalszej drogi.

Szklany dach drżał rozgłośnie, ziemia trzeszczała pod kołami, szyny nalane czerwienią, znów nikną w cieniach żelaza.

Jest żydek!... Pognał ludzi na szary koniec stacji.

Miasta się po drodze nadarzały, jak te żółwie ogromne, jasnością szyb i blach na ziemi rozesłane. I pola i ciche lasy, założone tak pięknie!...

Dzień wstał i upadł i noc zaległa. I jeszcze dzień się przewalił... A teraz noc ostatnia, w której nastąpi przyjazd do morza samego.

Tak, tak, tak — kują koła. Ze stopnia na stopień, ze schodu na schód spada pociąg wdół, niżej, — niżej...

Zerwali się wszyscy na głos donośny.

Agenci między siebie podzieliwszy, brudnych, czarnych, przeprowadzili poprzód do oględzin i do kąpieli. Wstyd, sromota i gniew nic tu już pomogły. Prawo takie — przedkładają. Tuś się człowieku, na dobrze rozstawał z ostatnim prochem ojczystym. Zajdy ci świństwem lekarskim pokropili i otoś w mieście nieznanym idący, zagapiony na cuda żałośne...

Tu ci się kościół ukazuje, obszyty kamienną koronką. Tam wieża, jak dzida wielgachna, na wysokości swojej ogromne oko złotego zegara przekłuwająca.

A nagle, gdy akurat mijasz w żelazie rozpartą osadę, zegar ronić poczyna łzy niewidzialne... Tak gra...

Zwęża się ulica, przecznice ją szarpią. Mury murów coraz bliższe. Kompanja idzie cierpliwie do końca, strwożona, w sobie uparta,

głucha na niezrozumiałe pyskowanie obcych ludzi.

Gdy oto grunt się pod nogami urywa. Domy rozmiata na boki... A przed oczami widać bezmiar, tak powietrzem wzdęty, — że się pierś rozpiera szeroko...

Nisko od brzegu aż do dalekiej wysokości nieba mielą się srebrne skiby z czarnemi płatami chmur. Okiem niezrozumiana łuska gnie się, mlaszcze i pluszcze. To się w wielkie źrenice zbiega, to pęka i zrasta w grudę srebrzystych blizn...

Morze...

Przyszedłszy nad sam brzeg, zgięciem postaci oblepili żelazną balustradę. Patrzą w ten żywy bezmiar.

Wiatr hula, karbuje siną pianę, z rozdołów wody pędzi... Białe słońce tonie w odmęcie, bezpowrotnie przepada.

U dołu w ciemnej zatoce drą się w niebogłosy czarne kominy. Wielkie okręty, syrpaniem wody owite, chyboczą się leniwie.

Łodzie, jak garście łupin, giną w ruchliwym przeogromie wód.

Zgroza wieje z tych dali...

Owiewa szarą drużynę do balustrad przy-

lepłą, co ją wir losów wałem perzu zmiętego wygnał aż tu z łanów rodzinnych precz.

Myśl się w gromadzie gnie, ze strachu drży i nieskończonemu ruchowi dali przeciwstawia... Że choćby morze łez przejechać, i krocie blizn przetrzymać, — lecz wrócić...

SZEWC

Ocknął się i przetarł oczy. Znów wszystko okazało mu się w wyraźnem, stanowczem świetle.

Lampa, stojąca za wielką szklaną banią, pełną wody, rzucała mocne światło na trzewik w podołku. Obok, na stole, długie i krótkie języki szewskich noży, obcęgi, wypukłe łokcie młotków, skrawki skóry, chropawe ozory pilników, tępe bełty kulisów, raszpile, ostrym pytajnikiem wykręcone haki do kopyt, wreszcie kopyta, gęsto porozrzucane... Dalej słoiki z mazią, smołą, z woskiem, z całą tą lepką paćkaniną, którą szewc klei, łata i kleci swą robotę.

Wszystko owiane popędliwym kurzem skóry i opiłek, co sypie się wśród gwoździ, gwoździków, kołeczków przez cały warsztat od sufitu aż do podłogi.

Nim zaczął znów robotę, obejrzał najważniejsze narzędzia pracy, — ręce. Na kciukach, w łopatkę wygiętych, na bokach palców twar-

demi sękami sterczały odciski. Tam i sam wyzierało wąskie czerwone oko rany, brzeżonej czarną rzęsą smoły.

Przemył więc ręce w odwarze z kory dębowej, by twarde były i w ciężkiej pracy nieuraźliwe...

Wziął trzewik, na wgłębienie między uda położył, przychwycił kostką piersi, tą, co kręgi żeber rozprowadza, tedy mostkiem, — i obłamkami szkła jął szlifować podeszew. Kolana sterczały wysoko, głowa się nisko ku robocie skłoniła, twarde kąty rozpiętych w trójkąt ramion zawisły po bokach i puściła się w ruch ta spłaszczona maszyna...

Grzbiet jak pałąk giął się, chwiał, tężył za ciężarem głowy, a siła szła z wnętrznego źródła od dźwigni do dźwigni, z przekładni do przekładni...

Z ramion w łokcie, — z łokci w przeguby, — z napiąstka do palców.

Te zaś szkłem tarły podeszew.

Pył wiercił w nosie, łaskotał uszy, kłującym świądem zapychał kąty oczne.

Odmuchiwał się szewc, jak mógł, od tej zarazy lotnej, skorej i właźliwej.

Potem trzewik za nos, jak rybę za pysk, krzepko ująwszy, odwracał i żłobił podeszew

lekkim ozdobnym floresem. Wreszcie jakąś pół-łysą, zmizerowaną szczoteczką do zębów malował na czarno te białe skórzane grzanki składając wykończone opodal w grzeczny rząd.

Aby przeschły.

Odrobił sprawę kulisem i rzucił się do ostatniego w tym dziele zadania, co koronuje każdą pracę — : do blasku. By podeszew niezmąconą nowizną, nowizną bez skazy tchnęła...

Więc trzewik, w trzewia wgłębiwszy, dwugłową mocą kolan zmuszając do bezruchu, lędźwiami w kleszcze wziął. Porwał gruby fatałach sukna i nuże jeździć po podeszwie!

Zrazu opornie... Lecz potem coraz lżej i sprawniej i coraz posuwiściej. Aż szmata, jak po lodzie po skórze śmiga, — pięść bąkiem świszczącym sunie...

Na przedramieniu żyły — grube basy, łokieć w skręcie aż chrupie, mięśnie pęcznieją, ten tego w nawale wysiłku odętym brzuchem wypiera...

Aż nareszcie wir pracy całego szewca łapie... On wprawo kręgi toczy, ona go wlewo odpycha... On dalej wprawo kułakiem, a ona, jak na osi, kręci nim dalej w lewo.

Już pysznie błyszczy podeszew. Na czole szewca pot lśni. Całe ciało na kopyto, jak

na pal wbite, w srogiej zabawie rozpędu wykręca się i dygocze.

Przestał, by wytchnąć, bo mu się zmąciły w oczach ściany izby i, wkoło zrównane, powoli dopiero wracały oczywiste kąty czworoboku.

Teraz wziął reparację.

Z pospólstwa ułomnych butów najnędzniejszy stanął na stole. Wyrwane miał ucho, język, wystrzępione oczka dziurek, na wylot przebitą podeszew i ściosany obcas.

Trzewik ten, wbity na prawidło, chorobliwie rozprostował się.

Pozór tężyzny jeszcze bardziej odsłaniał całą jego mizerję...

Wziął się szewc do zrywania nieużytej podeszwy. Tym szewskim nożem, co, skórę krając, wraz ciało krającego szczypie, wyskubał rozchwierutane gwoździki, zerwał podeszew i wypatroszył spróchniałą od potu podściółkę.

Jadowity smród starej skóry i pył nieznanych dróg i fetor niewiadomych postoi pyłkim czadem wyłonił się z przegniłych fałdów buta.

Trza było również zerwać pokłady obcasa, by wreszcie, niby parszywa gardziel, ukazał się w zestrzępionych zwitkach obrąb przyszwy. Zardzewiałe od wilgoci i potu gwoździe, niby chore kły, trzęsły się w kolisku dziur.

Splunął szewc w garście, z motka wysnuł chudą kosiczkę konopianych nici i, wichrowate skręcał w jędrny szpagat. Po skręconej dratwie, niby grajek po smyku kalafonją, — przewiódł wielokrotnie kawałem smoły. Wyciągnięta cięciwa zrumieniła się brunatną barwą, a pofolgowana, skrętem zerwanej struny upadła na podołek.

W dwa rosochate końce wścibił szewc dwa ostre żądła szczeciny i, otuliwszy, zwarł je przylepnie w konopianym warkoczu. Dratwa była gotowa.

Niby doktór przed operacją, zładził jeszcze to i tamto, a wszystko bardzo ważne, nieodzowne, bez którego ani weź. Zdartą podeszew okrył papierkiem i wzdłuż osmolonym palcem rozmiar wyznaczył. Tępemi nożycami, wolno, bo się papier w twardych ręku oszukańczo przeginał, — wyciął formę.

Taka sama rada przypadła obcasowi w udziale. Wtedy skórę z wiadra wziął, bo zbić ją należało. Położył ją na cegle — i wali!

Coraz mocniej... Ostatnia wilgoć z najskrytszych słoi, niby ostatni pot, występowała pod uderzeniem. Zaś młotek szybko-chybko wahał się między głową i bitą skórą i głośno przypadał wybuchem: cha! cha! cha!

Teraz zgrabnie przymierzył papier, by miejsca nie marnować i skóry nie trwonić. Więc wszystkiemi sposobami, — póki na małym błamie zgodnie, sprawiedliwie, krawędź koło krawędzi i bez uszczerbu nie stanęły obok siebie·obcasy i podeszwy, uszczypliwym nożem dokładnie wykreślone.

Tak wycięte, postawił gdzieś na widoku, by później w ferworze roboty dokonanego już dzieła nie szukać lekkomyślnie...

Wyrychtowana podściółka — ten liść pieszczony, całkowicie wklejona, dokładnie się złączyła z przyszwą.

Teraz rzecz najprzezorniejszą, każdego dzieła roztropność, wszelkiej pracy słuszny zachód — brzegi...

Wąską listwą randu oszyć należało przyszwę z podściółką.

Wyszukał se między rupieciem wnikliwe szydło. Zapobiegliwie dziabnął nim w krążek mydła — i szydło gotowe, — czeka...

Dratwę obejrzał.

Już ostre żądełka szczeciny w ustach na zawołanie trzyma...

Idzie robota.

Na przewiady szydło się wciska, — wylot sprawiło! Wilgocią ust śliskie, dążą w wykłuty

ślad obie szczeciny. A potem ręce społem, dratwę na się motają i wskok!

Pędzą od siebie. U kresu dalszej niemożności, wzdęte obrzękiem, — na pętlach niby strykach zwisły. Przez mgnienie chwili... Bo właśnie nową biorą siłę... Przypadły na podołek, z sideł dratwy uciekają, żachnąwszy się wykrętnie. Znów na zwiady sunie szydło i zagiętym szponem sprawę przenika. I znów dwa żądła celnego porozumienia krzyżują się w wykłutym podkopie...

Ręce, w pośpiechu sękatych palców wloką co żywo na padół dłoni tę uprząż konopianą. I zamachnięte pędzą od siebie precz, i znów zdławione uściskiem dratwy, — padają wdół.

Robota idzie coraz raźniej, kopyto coraz głębiej wgłębia się w pierś. Pocięgiel, szewskiego trybu ścięgno najważniejsze, pręży się i kalikuje przy płucach, z których mus nieugięty wydziera muzykę świstu. Sine, czarniawe żyły wiążą się z dratwą w splot...

Przez zamknięte dłonie nie dratwa, a gorący potok płynnej smoły się sączy!... Własnych rąk żyły i ścięgna wszywają się w podeszew!... Wraz z nicią one same, żywopłotem pracy — but miedzą...

Obrócił kopyto ku piersi. Pocięglem je przytroczył — warstwami spiętrzy obcas. W usta wetknął gwoździki, by były na podorędziu.

Zagadał, zatańczył młotek na kopycie, póki wykończonego obcasa nie otoczył ochronnie i krzepko równy rząd złotych gwoździków. Od nowa zaczęła się ta dygotliwa, mordownia raszpilem i kulisem. Bo obcasowi nieprzejednaną zwartość nadać wypadało.

Czas szedł.

Noc w blaskach niepewnych słaniać się jęła na świecie, a szewc, schylony na niskim zydlu, niby karzeł, złym duchem opętany, harował w pocie czoła z głową, przy kolanach trwającą. Im bardziej zabliźniał otwarte rany butów, tem częściej w miarę roboty otwierała się ta lub owa rana dłoni. Ręki wspomnienie i pamięć...

Na tej drodze traciły palce zwolna swą skrzętną pieczołowitość, a dłonie stawały się kajdanami, w których uwięziony jest ból.

Praca dawała coraz większy opór. Tu kopyto zasiadło w bucie i wybić go nie można, tu znów bronująca kopystka nie mogła ściąć czubków gwoździ, sterczących gdzieś w kącie. Młotek wywalał się z rąk, raszpile kłodą ciężyły.

Nie człowiek już a warsztat związany naprzeciw martwego warsztatu siedzi... Chciałyby ramiona szprychą załatać, nadal klepiskiem nadarzyć się chcą kolana, ręce, w płetwę zlepione, gramolą się z ulepku. Ale pod kolanami i wzwyż łokci wielki się ciężar rozpanoszył. W kij niemocy związawszy, nie puszcza człeka...

Przedwstępna chwila snu rozplątuje omdlałe członki. Głowa kłoni się na stół. Wśród kołków, szpilek i gwoździ spoczywa, — w otoczy cierniowej...

Widzi się szewcowi mrowie obuwia, kroczącego po białej drodze...

Tańczą płytkie lakiery, spacerowym krokiem dążą żółte trzewiki, damskie pantofle dreptają... Rozgłos nowego obuwia łączy się z czkawką zdartych człapaków...

Tłumnie, idą do szewca, przed świętem po poradę. A on, nad dobrem ludzkiej stopy ręce tracący, co sobie w piersi obcasem grób wykopuje, otwiera im drzwi i miłosierną pracą darzy...

Świt już szedł. Różowił się już zrąb nieba.

A półprzytomnemu szewcowi się zdało, że jasnowidząca orędowniczka pracy nocnej —

lampa, przedzierzgnęła się w złocistą jutrzenkę i gości na ciasnym stole... Że to właśnie ona śle zorzę, która ziemię ze snu budzi, właśnie ona gasi przymus gwiazd stróżujących i rozwiązuje samą drogę mleczną — ten srebrny, długi pocięgiel, — co światy wiąże...

ŚMIECIARKA

Jasności jeszcze niema... Dopiero wzejdzie. Godzina jest trudna, żmudna, załamana... Połową tkwi w czarnych głębiach nocy, połową się wydziera się na trakty dnia...

Nie wstaje jeszcze praca z łoża twardego. Wypoczywa. Jeszcze się nie zaczęło łoskotanie, którym codzienny obowiązek szczypie i ze snu wybija serce rzesz pracowitych. Rzesze śpią, ukryte w tanich, wilgotnych klatkach przedmieścia.

Ulice szklistą, ciemną taflą toczą się między szeregami domów puste i ciche. Żelazna powieka zakrywa wystawy sklepów. Na drzwiach spoistych, niby czarny pępek, wkląka głęboko wciągnięty zamek. Stragany puste, tylko się w nich gżą stare szczury. Kościoły milczą, rozwalone na pustych placach, jak czarne trupy wron, co z nieba gęstego spadły na bruk i zastygły z gwiazdą pazurów, w niebo wyciągniętą...

Niebo szare, skudlone, zwichrzone. Ścina się w bałwany i mierzwi się i kręci. To się

rozdziera, to zrasta, to strzępi, to jednoczy, to znów w chmury zlewa.

Zaś one, nisko, o czarne kłykcie kominów drąc deszczem nalane piersi, — uciekają w szalonym pośpiechu.

Lecz miasto puścić ich nie chce. Czarnemi ryjami kominów dobiera się wysoko...

Brud, proch przywarł i przymarzł do twardej kanwy brukowiska. Jakoby się miasto całe w mrozie poranku oblekło gęsią skórką...

Cicho... Tylko w przegięciu ścieków zakręci się czasem ogłoszenie na ulicznych świstkach drukowane. Tylko na skręcie gościńca westchnie wyznanie wiary, czarnemi ząbkami białą szmatę gazety gryzące... Tylko zrzadka kłapnie okiennica, lub pryśnie litera napisu z nad domu, lub zadrży na wierzchu skrzyni zbłąkany kwiat.

Skrzynie stoją przed każdym domem. W nich wszystko, co już zużyte, niepotrzebne, parszywe, śmierdzące, sparciałe i zgnojone... W nich wszystko, czego już zwierzę domowe nie ruszy, a litosierna ręka żebrakom dać się wzdraga.

Popiół, kurz, potrzaskany sprzęt, łupy, obierzyny, gorzkie nacie, robaczywe bulwy, owoce... Prześmierdła słoma z psiego sien-

nika, rozbite kryształy kielicha, ropą nasiąkłe szmaty, wypatroszone jelita ptaszków smacznych, dzióby i łby drobiu, rozbite talerze, koronki, śpiesznym łakomstwem poszarpane pudełka konserwów, zlepiony piach spluwaczek, głowy rybie, słodkie słowa na tabliczkach karnetu pisane, podszewki kapeluszy, pleśnią obrosłe skarpetki. Na szczycie tego wszystkiego, zwalono kupę mięsem obrosłych kości. Kości, któreby jeszcze można ssać, z którychby szpik tłusty można wytrząść i spożyć, — gdyby nie zamarzł.

Idzie stara niewiasta o kostur wsparta, chrupkie jej kości trzeszczą... Łysa głowa przykryta cienkim płatkiem szmaty. Oczy, — krople zbrukane, tęży przed siebie...

Próżno dźwiga szczękę niesforną wysoko, pod nos krogulczy... Szczęka wciąż pada wdół, odsłaniając spłowiały aksamit dziąseł.

Nogi rozpuchłe, w słomę i papier okręcone, wlecze wolno po śliskiej gładziźnie bruku, po którym gładysz miejski biega tak szybko.

Aż dotarła do skrzyni, do śmietniska, — aż dobrnęła do swego rogu obfitości... Tu się jej twarz w łakomą mordę zmienia... Zmarszczki, niby te zmarszczki starej ulęgałki mróz, — ścina łapczywość i ostrzy żądza połowu...

Nogami wpiera się w grunt, głowę krzepko sztorcuje, — przechyla... Wreszcie pogrzebacz ująwszy, pcha w śmietnik.

Piach się sypie, sepleni wśród papierów. Stękają zatęchłe szmaty, drą się pod szponem pogrzebacza rozmiękłe reszty jarzyny, chrupią kości, pudełka...

Nic jeszcze starucha nie przewraca, nie wyciąga, nie dłubie, tylko kłem kostura bada smrodliwą głębię skrzyni. Krupy, guziki, ochłapy sypią się z pokładu na pokład, z warstwy na warstwę i szepcą: szuk — szuk — szuk — szuk — szuk...

Zgruntowała...

Co rychlej do worka zgarnia wszystkie kości, nieogryzione kosteczki i wygotowane gnaty.

Ręce stare w śmieciu zagłębia, — między skrzep, między oślizgłość paluchami przenika... Czy wśród zgniłych zajadów paru guzików nie wyszpicluje, czy jeszcze pudełka jakiego nie wymaca?.. Czy żelastwa nie napotka, lub szmaty jakiejś bogatszej?..

Co się spenetrować dało, spenetrowała...

Tedy ręce, krupą wszelakiego świństwa operlone, wywleka,

Kostur w garść i raz, dwa, raz, dwa, kopie, — rozrzuca, — babrze...

Zła woń niepomiernie wydycha się ze skrzyni, gardło ckliwką rajcuje, oczy wygryza, ogłuchłe uszy zatyka.

Popiół siada na brwiach, na zmarszczkach i na piersi...

Szuk — szuk — szuk — przedrzeźnia śmieć ruszony i z pod rąk się spłozi, umykając. Ręce parą grabków włażą w kwaśne, zrudziałe złogi paki. Coraz głębiej po łokcie, ramiona, że tylko czub głowy, okręconej kosiczką włosów, wygląda z chropawych brzegów...

Nic tu już więcej nie znajdzie.

Śpieszy dalej.

Między murami się chwieje, od skrzyni do skrzyni pełznie, niby widmo żałosne, duch miejskiego poranku...

Teraz ma pracę podzieloną, bo jedną ręką szuka i grzebie, a drugą, w kostur zbrojną, odgania precz jakiegoś psa wywłokę, co koło śmietniska krąży.

Nie tobie, psie, a mnie!...

Człowiek ma prawo, — nie pies!!...

Szuka dalej, dłubie w starych obcasach, nabok składa pęknięte potniki.

We wszystkich szmatkach coś zgubionego się chowa, we wszystkich kościach gruntowny szpik się tai, z każdego pudełka lekkomyślna zguba wyskoczyć może...

Przetrząsa śpiesznie jedno, drugie, trzecie i czwarte.

Gdzie zguba?

Znoszone łachy przez ręce cieką, kościane palce na kolcach się kaleczą, odłamki szkła na mięso dłoni dybią...

Szuka korzyści, zdobyczy, zna ci to przecie wszystko!...

Nosiła na ciele szmatki, koronki, wstążeczki, jedwabie, muśliny, atłasy, hej, hej!...

Całe, caluchne!...

Jadła buzią łakomą pieczenie, pasztety, grzybki, uda, udka, konserwy, sztufady, studzieniny i smakołyki, — jej, jej!...

Piła gardziołkiem świeżutkim, ze szkła malowanego, z butelek podkasanych, ze staruszeczek omszonych, całe szczęście napojów,— ho! ho!...

Gdzie zguba?...

Wpośród aksamitów, z palcami, przy portfelu, szelestem papierków upieszczonemi, gdy usta czyjeś sine, do zadu końskiego podobne,

mówiły do niej, lepiąc: „Zgaduj, zgadula, gdzie złota kula?

Kula potoczysta toczy się światem rozłożystym!!!

Zgaduj, — zgadula...

W chwytkich rękach się plotą graty, reszty i śmiecie...

Po niteczce do kłębka...

Od plwociny do piersi...

Od obcasu do serca, co obcas na drugim sercu postawiło. Od kiszeczek ptaszka smacznego do zbereźnictwa nocy... Od rzemyczka do stryczka — zgaduj, zgadula, kosturem traf, gdzie złota kula?...

Ej zgubo, ej poronienie ty!!...

Na słomie, czy strychu szybkich miłosnych ukradków — roniła, sztuką piekielną... Wstyd, — słowo, myśl... A potem zdrowie — dzień w dzień do ostatniego choróbska, które w narząd sromoty krwawy kwiat wrzodów wetknęło.

Skórę obsiało siną niezabudką pryszczów, usta nadgryzło stęchłym serem zgnilizny i umaiło gardło białą falbaną nalotu...

Przestrach stanął na granicach miasta... Dziryty strasznych wrzasków w niebo wyrzucił...

Śmieciarka wącha, węszy i tropi w kupie

paskudztwa. Stare śmiecie z robactwa iska przytomnie...

Wtem coś się pod palce nawinęło małe, zimne, kosmate...

Zabawka, kurczę, — czy noworodek trupik?

Oczy ma zabawka wyjedzone, rączęta trzeszczą, pogruchotane nóżki wiszą na słabych włóknach... Na głowie włoski jak len, — złoto, — pajęczyna...

Lalka...

Wzięła śmieciarka poranionego bałwanka do ręki, ogląda, obmacuje.

Szuk, szuk, szuk, — niesie się z mglistej oddali, — szuk, szuk, szuk...

Zgaduj, zgadula, gdzie złota kula...

Kula potoczysta toczy się światem rozłożystym...

MUSIC-HALL

Czarny kadłub budowy, wypryskiem świateł wzdłuż wiązań i szprych żelaznych błyszczący, leżał na brudach miejskiego bruku, jak niesłychana jakowaś, olbrzymia, drapieżna kocica... Jej ślepia — to wysokie gały elektrycznych lamp. Słychać, jak przewracają się w twardych, żelaznych orbitach, sycząc zjadliwie. Rżnięte filary gmachu, w ziemię wparte, — to chwytkie łapy... Wbite głęboko w ziemię miasta...

Ta ogromna budowa, której pręty i druty, skrzą ogniście, — cuchnie naokół czadem spartego powietrza, tchnie swędem rozjątrzonej w gorącu ciżby, poci się spiekłym błotem, które znoszą tu ludzie ze wszystkich zakamarków całodziennej pracy.

Zda się ów gmach żelazny zbłąkanym jakimś rabusiem, co legł na zeschłym trzęsawisku wokół zionie próchnicą i gnije. Rzesze ludzkie cisną się w jego stęchłe wnętrzności, by zasmakować w robaczywym sercu drapieżnika.

Serce szmatą kurtyny zakryte.

Wzdłuż, do zimnych żeber, wklęsłych miednic, nabrzmiałych stawów i wyżej, do oplwanych zżutym tytuniem krętych obojczyków budowy i lgnie zgrzane mrowie ludzkie.

Twarz spocona przy twarzy — ulepia się w pasmo tłustego ciasta.

Niżej, na parapecie, jak niesamowite raki, kręcą się czerwone, spracowane ręce. Wtył, wprzód, — to wychodzą jedne na drugie, to nikną, to czepiają się twarzy, to wiszą nad dymną pustką sali.

Dym kurzy się, wysnuwa ze wszystkich galerji, występuje z parteru i kręci się między białemi krzesłami, co ruchem giętkich chrząstek wciąż się zmykają.

Siną podkówką podbija źrenice latarni. Wielkie, sykliwe, chwieją się nad pustką kołyszą i chyboczą.

Aż strach...

Że się znienacka oberwą i spadną wdół na tłum... Jamy wypalą w ogrodzie damskich kapeluszy, dziury wypieką w śnieżnej tafli prasowanych koszul. I białe piersi, co je strojne panie jak dwie maślane bułeczki ze staników wyłaniają, — zaskwierczą przeraźliwie... Ptactwem ognistym wyfruną z głów

wysoko strusie pióra. Srogi pożar rozewrze stulone na kolanach wachlarze, a gorsy pańskich koszul w szkarłaty zmieni...

Zeszła się już była czereda muzykantów. Rozmieściwszy się na zydlach roztropnie, by jeden drugiemu smykiem oka nie wydziobał, wzięli się do strojenia instrumentów.

Popłynęła jedna i ta sama, przeciągle becząca nuta, z miejsca na miejsce. Toś ją słyszał, jak drży na wyprężonych nerwach skrzypiec, zgarnia pod siebie inne tony. Toś ją łapał uwięzioną w zakatarzonym stękaniu klarnetów, jak się z tego śluzu, co go instrument nie żałuje, — otrząsa niecierpliwie... To znów chwytałeś ją w chwili, gdy, hukając, przemykała w słodziutkiej tchawicy fletów, wesoła i niesforna.

Wydęte bańczochy basów gderały na nią półsennie. Mała, czarna świstawka, piccolo — piszczał niezaradnie... Inne znów, czarne kominy fagotów, smażyły nutę zawzięcie we wnętrzach wrzaskliwych. Lecz wszystko nikło i pierzchło, gdy złociste gardziele trąb charknęły sądnym głosem.

Już skrzypkowie przyłożyli głowy do ramienia, szczypiąc palcami czarne, wychudłe szyje skrzypek, a smykiem z naprężonych strun

ciągnąc długi, potoczysty sok dźwięku. Już wiolonczeliści rzezać poczęli żywot swych instrumentów, wabiąc z nich pożywne, sytne głosy.

Już się wzdęły policzki tych wszystkich, co dmą. Jeden usta w jadowity lejek ustawił, z dudki ostatnie tchnienie wysysając, drugi głowę do fletu, jak do poduszki, bokiem przyłożył, niby śpi — a tymczasem dmucha piskiem całego świata. Trzeci dmie, wargi zaciska, na lejku trąby płaszczy, by mu z powrotem tchnienia nie oddała.

Gdzieś w kącie burzył się bęben. Jak w głodnym brzuchu obrywało się w nim złe echo, aż nagle, prędkim warczeniem rozbełtał głosy wszystkich instrumentów.

Na okrągły stolec dyrektorski wsiadł kapelmistrz, mały, czarny garbus. Batuta trzepnęła niecierpliwie w pulpit, sprośnemi rysunkami upstrzony. Wzniósłszy się wgórę, natychmiast przykróciła rozwydrzoną swawolę instrumentów.

Ścichło. Słychać było tylko szczęk talerzy, nożów i widelców, niby szczęk stalowych żuchw, szkło gryzących.

Prasnęły pierwsze akordy marsza.

Brzękadła, dzwonki, huki, stuki, okrągłe

zady moździerzy, wszystko się zwierać zaczęło, zmagać, trzeć, rozrabiając w słuchaczach nieokiełznany smak. Lecz hałaśliwa fala opadła i wraz, przez każdego ulicznika szturchana melodja skoczyła skarżyć się skrzypcom. Te, przelały ją w pojemne żywoty wiolonczeli.

Wiolonczele tłamsić się wzięły oną melodję, rozgniatać i mięsić. Od spodu kopał głuchy, bolesny prztyk basów, zgóry szczypały skrzypce, zboku opryskliwie rwał flet. Już też chlupnęły klarnety, póki nareszcie zwrotka, wśród tylu zmian wysuswalona, dostawszy się w rozwarte piersi trąb, nie lunęła na cały gmach!...

Puszczono reflektory. Dwie olbrzymie rozszerzone źrenice upadły na wniesioną podłogę, goniąc się wzajem.

Z kulisy wyszarpnęła się śpiewaczka.

To idzie, jak tresowana klacz, linję kłębów podkreślając, to chyli się, by gorzkim karminem umalowane poziomki piersi ukazać. We włosach, grzywą pudla opadających, snuje się złoty wąż i gwiazda, chełpliwa gwiazda zakazanego popasu. Na szyi rząd sinych pereł, niby siny ślad zębów, co szyję ową pogryzły... Na gołych ramionach złote obręcze. Ręce spasione, wychuchane, nierobne, łaską próżniactwa odęte...

Twarz?!

Wysoka cienista szminka nosa, przecięta krychą brwi znaczy oną twarz krzyżem malowanym. Z pulchnego kwiatu ust krzyż ów wyrasta... Zaś z poprzecznic jego, niby dwa fałszywe kamienie migocą tępe oczy.

Postać, czerwonym jedwabiem opięta, świecidłami przetkana w nawale łakomych spojrzeń, niby w grząskim błocie — kroczy i stąpa, wysoko unosząc nogi.

Kroczy i stąpa — muzyka ją hałaśliwym odmętem popycha. Linję kłębów całym ciężarem ciała podkreśla, — muzyka ją uszczypnieniami skrzypek łaskocze... Chyli się, gnie, — muzyka ją uderzeniem basów kopie... Klęka, rozgina się, rozchyla, — muzyka ją sądnym głosem trąb sądzi... I szydzi z niej ostrym ukropem fletów i pali hukaniem fagotu, a na grzbiet sypie kamienną grudę bębnień.

Tancerka przed tonami ucieka i zwrotnym kręgiem hasa.

Źrenice reflektorów ścigają nieodstępnie.

Unosi spódnic, chciwe spojrzenia strzepuje...

Zaczął się nowy numer.

Wyległo kilkunastu drabów w czarnych liberjach. Ci skrzętni karawaniarze budować,

rozpinać jęli na saląd i widownią potrzask ze sznurów, linek żelaznych, drabin skośnych i ukrytych odskoczni.

Zachrobotały przekładnie, zaszumiał rząd oczek wielkiej sieci bezpieczeństwa, co sypko szeleszcząc sunęła po powietrzu.

Szare liny i druty, poprzerywane tam i sam błyskiem krótkich stalowych orczyków, rozpajęczyły się szeroko między stropem a ścianami gmachu...

Hutna, jurna ochota wyszarpnęła się z orkiestry. Trzasła w plecy gimnastyków, którzy, wskoczywszy do siatki, spinać się jęli w górę po drabinach.

Zgiełk orkiestry zachwiał się i nagle zgasł.

Gimnastycy byli u stropu.

Salę zaległa cisza. Słychać było dokładnie świst sznurów i trzeszczenie bloków stalowych.

Jeden z gimnastyków ciskał się i szarpał na najwyższym orczyku. Dwaj inni w odważnych skokach łapali się wzajem na rozhuśtanym trapezie...

Pośród głuchej ciszy, jakby nie szprychy i śruby stalowe, a ludzkie stawy, i kości gięły się, trzeszcząc dosadnie...

Mnogoliczna rzesza pasła się pożywnie niebezpieczeństwem...

Tymczasem gimnastycy, stanąwszy na najdalszych węzłach sieci, zamarli w rozmowie spojrzeń...

Rozdarł ciszę ochrypły skowyt: „All right!“

Wszyscy trzej z szaloną szybkością runęli w rozpiętą pajęczynę... Oto nie mogą się utrzymać na śliskich trapezach... W przelocie pędzą z drążka na drążek, uplątani w straszliwe polowanie równowagi...

Wreszcie skoczyli w dół...

Ledwo ściągnięto sieci, gdy światła zemdlały i zgasły.

Muzyka się przecknęła i na tonie niskim, ostrożnie bujać zaczęła chęć tajemniczą. Doły, wyrwy, wykroty czynił ciężki raz basów. W te wyrwy raz wraz wlewał się pogłos klarnetów. Wszystko poganiał bęben, waląc głucho i mocno...

Ta właśnie muzyka wywionęła, wygnała z dekoracji człowieka-nieczłowieka, żywą nędzę, czy podobieństwo ostatniego zaprzepaszczenia. Wyskoczyła postać, w łachmany i strzępcie odziana. Rysy jej twarzy określił występek. Jakaś sprawiedliwość pokopała ją sińcami. Gniew wyrwał z jej czupryny całe garście włosów.

Postać pieściła w ręku składany nóż,

który z grzechotem śmiechu to zwierał się, to rozwierał...

Ostre gwizdy przekłuły czarną dal sceny. Na przeciwnym końcu zamajaczyła dziewczyna w brudnym łachmanie na głowie, w dziurawych, męskich lakierkach na bosych stopach.

Przypadli do siebie i sczepili się dłońmi. On jej ręce w stawach wykręcał, bił, szarpał — ona mu wymierzała policzki. Wreszcie skoczyli w „tan zbirów“.

Beznadziejna ochota wkręciła się w ich ręce, że darli się za włosy, padając z kąta w kąt.[1]

Poszarpane, głodem skręcone dwa śmiecie ulicy tarzały się po scenie, a publiczność osypała ich gromkim, jak stuk orzechów, głosem brawa...

Pierzchli.

Zabłysły światła, krzykacz oznajmił następny występ „więźnia“, rwącego wszelkie kajdany.

Zjawił się w szarej, aresztanckiej przyodziewie. Podeszli ku niemu, którzy do obwiązania na ochotnika zgłosili się byli z tłumu. Zadzwoniły łańcuchy i cienkie postronki żelazne. Owiązano go żelaziwem przez piersi, głowę i nogi. Ręce zamknięto na kłódki.

Muzyka grała truchtem, a skrzypeczki cięły zwysoka...

Człowiek padł na ziemię, zwijać się zaczął, kulić... Na twarz wystąpiły czarne żyły wytężenia. Ręce zsiniały. To stawał na głowie, to padał na bok, drgnieniami całego ciała nieznacznie przesuwając łańcuchy. Ale żelazo i stal trzymały krzepko, siną pręgą paląc wzdęte muskuły. Kurz otoczył artystę, co, w szarym wojłoku, podobny do trzęsącej się grudy ziemi, sunął w różnych kierunkach po scenie.

Tłumy podały się naprzód, współczując skazańcowi. On zaś, w skokach, uskokach, prężył się, to ku ziemi przenikał, to całą postacią wystrzelał w górę.

Ktoś huknął „Przestańcie grać!“

Muzyka ustała...

Słychać było przypadanie zmiętego ciała do podłogi, rzężenie wgiętej piersi i chrzęst wyprężanych łańcuchów.

Naraz, niby kry lodowe z głośnym dzwonieniem zsunęły się na ziemię.

Człowiek stał — wolny.

Radosny ryk szarpnął się z piersi tłumu, — lecz zmilkł...

Bo oto skrępowane miał jeszcze ręce...

Zwęził je, zwarł, sklepił... Opuchłym przegubem spychał łańcuch ku napiąstkom, a stąd starał się końcami palców ściągnąć dalej. Lecz stal, niedała się uchwycić. Artysta przykląkł, szukając na ziemi sęka, gwoździa czy wyniosłości, o którąby można było oczko łańcucha zaczepić.

Pot lał mu się z czoła na ziemię. Wkoło rąk, wytkniętych boleściwie z aresztanckich rękawów przewijał się płynny znak krwi. Sztukmistrz zamarł w wytężonym bezruchu...

Sine jego ręce, jak ciemne, spętane ptaki drżały ustawicznie...

Słychać było dygot łańcuchów i porywy litosnego płaczu na galerjach.

Zda się, nie może sam uradzić... Drżąc, czeka, aż przeciw stalowemu, co mu ręce opełzł, wynijdzie z wewnątrz drugi wąż... Gdy tamten zimny, ten gorący, — gdy tamten blady, ten czerwony, — gdy tamten zwarty, ten płynny...

Wąż krwi...

Aż oto połyskiem zimnego śluzu spłynęły łańcuchy, zaś więzień drżące ręce, wzniósł ku tłumowi, jakby mu je teraz krwawe, lecz wolne oddawał w podarunku...

Tumult rozsadzał mury!

Lecz pokwapiły się srogie płuca trąb, ogromnemi haustami fanfar łykając głośne uradowanie rzeszy.

Przyćmiono światła. Zielonawo-niebieskie lśnienie zatopiło całą scenę.

Krzykacz z za węgła oznajmił, że popisywać się będą artyści, co ze strun ludzki głos wydobywają.

Wyszli młodociani chłopaczkowie, w kusych, strojnych atłasach, usiedli zgrabnie koło harfy. Zaś przy harfie w kształt dzioba czółen starożytnych wygiętej, spoczęła blada dziewczyna.

Pierwsza w ton uderzyła. Palce młode, lekkie, ni to wiotkie gałązki jabłoni, muskać jęły długą przędzę strun, które drżały to splątane, jak cienkie nici miodu, to kołyszące się, niby włókna samego światła...

Lecz i ręce chłopaczków, nad wnęką mandolin różowemi okiściami zawisłe, wdały się w tę muzykę. Wyfrunął głos jękliwy, powiewem skrzydeł niewidzialnych zatrzepotał.

Rozwiane tony zwarły się w słodki zew... Rósł, — żywej mocy nabierał... Póki wkońcu, pełen żalu i boleści, nie przekształcił się w rozlewny, czarujący jęk głosu ludzkiego.

W rękach dusza załkała.

Złożone na mandolinach dłonie, palcami w zmienny, pięciolistny kielich rozkwitłe, jak wstęga liljowa, nad gryfami usłane, tchnęły ze strun wołanie...

STATYSTA

Nareszcie młodszy brat odłożył kielnię i porozumiewawczo gwizdnął na starszego. By wytchnąć cokolwiek, odwrócili się tyłem do muru i z wysokości rusztowań spojrzeli na miasto.

Objęte bujną zielenią wśród rozlewnych błoń leżało, jak na szmaragdowym aksamicie ogromny krwawnik. Tu i owdzie sterczały krępe kopuły, niby pięści w żelaznych rękawicach. Tu i tam wybiegały śmigłe wieżyce, pokaleczone klamrami. W różowych łunach zachodu grały płomiennym blaskiem.

Gorący promień słońca nakazał godzinę zegarom... Głosem piersiowym, przekonanym stwierdzały ją poważnie.

Przecknęło się dźwięczne błogosławieństwo dzwonów. Zakwitły poufne litanje na Aniołpański. Niby ochronny miecz niestrudzonego rycerza — stróża zabłysł wysoko szparki hejnał, rozciął otchłanną świadomość nieba i złożył tajemnicę godziny...

Wraz z końców miasta podniosły się jęki fabryczne. Chwalebny splendor dzwonów utonął w hałaśliwym odmęcie.

Rusztowania pustoszały. Cisza szła szybko z piętra na piętro, goniąc robotników na podwórze. Oprószeni wapnem i cegłą, jak rumowisko wysypali się na ulicę.

Dwaj bracia murarze, prędko przekąsiwszy, ruszyli ku miastu. Zatrzymali się chwilę na rynku przed pamiątkową płytą Bohatera.

Widać dziś wypadała rocznica, bo płytę otaczał rząd świateł. Przez kamień, napisem zryty, ni to przez pierś skamieniałą, płynęła krwawa struga czerwonej wstęgi...

Minąwszy przestronną szkatułę Sukiennic, szli prędko, nigdzie się nie zatrzymując. Wkrótce wyłonił się teatr z pośród drzew. Szary, biały, popielaty, do rozłożystej zieleni jak ślimak do murawy przylepły i dwiema figurami przyczółku, rzekłbyś parą rożków, chełpliwie w niebo zwrócony...

Jak się to stało, że się do tego teatru dostali i do tego przedstawienia, — sami nie wiedzieli. Czy, że ich gruby sekretarz z oczami prosiątka zdybał i zamówił, czy z koleżeńskiej porady, — sami nie pamiętali. Ale od tego czasu niejedno już wypadło im przed-

stawiać i chyba niezgorzej, bo woźny przy wypłacie zawsze na drugi raz zamawiał.

Już chodzili poprzebierani za cudackich fagasów, w babskich pończochach aż po pas, w kubrakach czarnych, powieką różowego atłasu łatanych. Snuli się koło księcia złotowłosego, obleczonego w czarną odzież, lecz które było mściwe i niezaradne...

A pod koniec trzymał młodszy murarz na pluszowej poduszce dwie cienkie szpady, cieńsze niż szpikulce akcyźników. Trzymał je w zgrozie wielkiej, bo się książę z bratem dziewczyny pogryzł, a o ojca ze wszystkiemi na śmierć się pobił... Dopiero inne rycerze zjechały, aby z trupów nauka wyszła, że gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta...

Już przedstawiali murzynów zamorskich z białym zawojem na łbie, niby kremowa tubka, a umazani na czarno. Witali na wyspie murzyna, co wyleciał z za kulisów w białym pierzu, wzburzony, jak indor...

Wyleciał, czarnemi pięściami tłukł się w srebrną zbroję i gadał na prześcigi i słodko obejmował Młodą, nadobnie płaczącą. Ale miał murzyn parszywego robaka w piersi... Póty się ciskał i miotał zazdrośnie, póki całej tej białej narzeczonej w łożnicy nie zadusił...

Już i do głosu ich przypuszczano, gdy chodziło o uczonego żyda, co się przebrał za kawalera w pończochy, w aksamit i w długie włosy. On się na ganku odrzekał wszelkiego pisania dla swojej narzeczonej, a oni stali w kącie przy sznurach, obok strażaka. Zaś przy nich ten z książeczką, na której ma wszystkie głosy zapisane. — Ryczcie, gdy dam znak — powiedział, — jakby wam przy wypłacie koronę oberwano.

Więc gdy ryknęli, to aż się ten sprawiedliwy żyd na ganku za głowę chwycił i uciekł, który miał na nazwisko Urjel.

Zgoła nie wiedząc, co się dziś będzie przedstawiało i czy zdadzą się na co, weszli w podwórze.

Tu zaczekali z gromadą innych chłopaków, tak samo łasych na ten teatr.

Z pod rozkraczonej bramy wytoczył się gruby sekretarz, końcem laski uśmiechniętych chłopców przeliczył i wpuścił do wnętrza.

Czarnemi schodkami pomknęli w górę na długi korytarz. Ciemno tu było. Tylko gdzie niegdzie u powały drżał nikły płomyk gazu.

Niesamowity, niby z murów wylęgły podstępny zaczyn pożaru...

Drzwi szarpane przeciągiem, raz po raz waliły twardo i głucho za biegnącymi.

Rzekomo wieka, któremi ktoś w rozkręcie korytarzów zabłąkany, wali brawo. Zaś wtedy płomyki gazu, jak żywe spojrzenia — gasły nagle...

Spłoszone myszy i szczury z piskiem uciekały na boki między obrosłe, włochate pachy poziomo złożonych dekoracyj.

Statyści przeszli wgórę, na lewo ku warsztatom krawieckim. Leciał stąd nieustanny spazm pośpiesznych maszyn.

Zatrzymali się dla orjentacji.

Na korytarzach wciąż hukał oklask drzwi. Z sufitu, nad którym ciągnęły się dekoratornie, spadał miarowy tupot stąpań. Ciężkie kroki niosły się po całej budowie, wypełniając głuchymi jękami zimne czeluście sceny.

Ściszywszy kroku, pełni nieświadomego lęku zeszli ku scenie.

Rozwarła się przed nimi głęboka otchłań.

Niby łyko obdarte z uschłych gałęzi zwieszały się nad nią pokurczone łachmany dekoracji. U przodku nad budą suflera, sklepioną w kształt mogiłki, tkwił wysoki ostry pazur żelaziwa. Drżał na nim zwiewny trójząb gazowego płomienia, rzekłbyś sine serce, złotym blaskiem gorejące...

Naprzeciw rozwierała się widownia. U dołu gęstą broną krzeseł zalegał parter. Powyżej ni to żuchwy czy dziąsła szczerzyły się podkowy lóż. Ze stropu sterczał olbrzymi świecznik.

Czerwone promienie słońca darły się w pryzmatach kryształu, ciskając tęczowe bryzgi. Któryś z nich padł na głowę karjatydy, dźwigającej amarantową szczękę lóż.

Kamień ożył w tym blasku.

Zdawać się mogło, że karjatyda jak sama Tragiedja, żywa i naga ugina się pod naporem... Że na widok szponu, co wyrósł z suflerskiej mogiły i dzierży gorejące serce, zatopiła dłonie w ognistych włosach skroni...

Z galerji leciało echo zamiatania i kołatanie szczotki w drewniane narożniki ław.

Inspicjent ustawił statystów, rozdał im „pierwszy“, „drugi“, sprawił w dwójki i skomenderował po żołniersku. Przykazał, aby w szeregu stali cicho, by rąk do kieszeni nie wsadzali, by się żaden nie skrobał, nie czochrał i w nosie nie dłubał. Przebierać się będą dwa razy. Raz za polskich żołnierzy, a drugi raz połowa za Moskali, połowa za kosynjerów.

Broń prezentować razem, rurę w obu garściach prosto przed nosem trzymać...

Jak się z kosami obchodzić mają, — wiedzą.

Ale nie zabardzo wymachiwać — by kulis nie uszkodzić!...

Podczas tych manewrunków i nauk szary łach kurtyny zaległ między sceną a widownią.

Maszyna elektryczna miarowo kopała już w tył podane ciemię budowy.

Wspłonęły wielkie gruchy reflektorów. Zabłysnął podłużny pas świateł nad sceną. Między skrzywione żebra kulis chlusnęło światło. Wypełźli maszyniści w niebieskich bluzach, klnący na umór. W głębi rozwinięto krakowski rynek z piernikowemi Sukiennicami. Z flanków wyskoczyły wąziutkie domki, osadzone w grubych zawiasach.

Ktoś brząkał w grube żelazne sztangi, próbując „głosu dzwonów“. Technik majdrował wśród elektrycznych trestek, zalewając scenę co chwila „bitewną“ czerwienią.

Statystów odprowadzono do szatni. Tu krawiec, rozglądnąwszy się we wzroście, wybrał dorodniejszych do pierwszego szeregu. Ci dostali lepsze mundury.

Spodnie mieli białe, żółtym szwem przejechane. Kurtki granatowe z żółtemi rabatami. Do tego szły wielkie, czarne czaka z białymi orłami.

Tych z pierwszego szeregu fryzjer pod-

malował cokolwiek. Dostali czarną krychę marsową między brwi i sute rumieńce. W rekwizytorni rozdano im karabiny, poczym wyszli za kulisy.

Młodszy murarz, podmalowany, bo go wybrano do pierwszego rzędu, kręcił się bez celu, to patrząc na ludzi, to jeszcze sztyftując mundur. Obciągał kurtę, trzepał się po ramionach z dbałością wielką, — że to dziś polskiego żołnierza przedstawia. W strachu tajemnym począł szukać miejsca, gdzieby można było te różne ruchy jeszcze raz przepowiedzieć.

Bo wszyscy próbowali...

Jakiś stary ojciec w szlafroku, pludrach za krótkich i w siwej peruce wciąż kłaniał się powietrzu, mamrotał i mizdrzył się. Drugi, mieszczanin w czamarze mówił mowę na środku sceny i śmiał się do samego siebie. Ze wszystkich kątów, dziór, nor, izb i skrytek leciały próbujące słowa, na wszystkie sposoby wykrzywiane.

Statysta poszedł wgłąb za płótno z rynkiem. Tu, za figurą egipskiego bałwana, któremu ktoś wetknął papierosa w tekturowe usta, skrył się.

Lecz przepowiadać trudno było...

Ztyłu dolatywał galop maszyn, z za płótna

całe urwanie głowy wszystkich maszynistów, a największa przeszkoda, że pokusa była w kulisie.

Tam bowiem zboku, przy drewnianej armacie stała aktorka bardzo piękna. Zwracała się ku jakiemuś panu, rękę białą położywszy na ramieniu, kręcąc szpicem złotego trzewika, co niby łeb żmii wychylał się z pod obrębu sukni.

Lecz statysta odwrócił od niej spojrzenie zakłopotane. Stanąwszy za figurą, wywołał w sobie głos komendy. Ciarki go przeszły. Wpatrzony przysiężnie w ślepie bałwana, przemaszerował. Dobrze szło. Ucapił karabin, aż drzewo mlasło, i sprezentował broń...

Nie bał się już o siebie...

Ale cały szereg? Bo jeśli przy „wtył zwrot", jeden się wprawo wykręci a drugi wlewo, to się gębami spotkają. I już nic wtedy nie pomoże, gdyż cały honor obrotu złamany będzie.

Jako „pierwszy" poszedł szukać „drugiego" i wyłuszczył mu całą sprawę.

Tymczasem dzwonki zatelegrafowały we wszystkie strony. Cicho się zrobiło za sceną...

Statystów zgoniono do kupy. Ukryli się daleko na schodkach, skąd widać było wnętrze

baletowych szatni. Tam na ścianach, jak srebrne ćmy, lśniły koliste spódniczki tancerek.

Trzy dzwonki syknęły jeden za drugim.

Dał się słyszeć gęsty szum płótna, niby szelest ogromnej fali... Kurtyna poszła wgórę.

Ciemno w oczach zrobiło się statyście. Chyba, że to z jego serca poleciała wgórę zasłona...

Na wnątrzu rozpalił się żar dziwowiska...

Już gadali na scenie.

Słuchał pilnie, czy się aby ten głos tam nie rwie, nie nazbyt strzępi, czy dobrze się wiąże i trwa?...

Głos płynął, wiązał się równo, rozwijał sprawę i służył. Dział się różnolicie, to płynny, to wgórę wykrzyknikiem zadarty, to szybko karbowany sztywną falbaną śmiechu.

Z westchnieniem zsunęło się płótno kurtyny.

Od widowni padło na nią kołatanie oklasków.

Na scenę skoczył tłum rozjątrzonych maszynistów. Powynosili gniewnie ściany pokoju, uprzątnęli meble, które po zniknięciu ścian znalazły się były samotnie na środku rynku.

Żołnierze stali teraz za kulisą z oficerem

na czele. Na scenę wyszło mieszczaństwo, wszelakie baby i łyki.

Wzleciała kurtyna.

Statysta odwrócił głowę od publiczności.

Nie patrzy tam...

Tylko waguje się w nim ta rzecz publiczna, niebezpieczna, honorna... Że to zaraz z białym orłem na łbie, — wyruszy...

Poziera na towarzyszy. Lecz ci nie chcą mu patrzeć w oczy, a uśmiechają się głupio...

Na scenie przybywa hałasu. Mowa zatacza coraz szersze kręgi, wszystkie usta zapala!...

Niewiadomo kiedy, całe mieszczaństwo do muru domów przywarło i woła ku żołnierzom w kulisy. Woła, chustkami macha, z nogi na nogę radośnie przestępuje, tacza się, słania i płacze.

Nagle!...

Z nieba, czy z piekła, z dali, z blizkości, z boku czy z samego serca wrzasły fanfary trąb.

Kłębią się, pietrzą, niezmierną chwałą wzdęte...

W oczy statysty leci blask wyciągniętej szpady, źrenic dotyka, światło wojenne wskrzesza.

Zjeżyli się karabinami.

Głos rodzonej komendy z mocą pada na głowy.

Idą!

Głębie sceny już dudnią...

Fanfara rozwołana, głośna, pcha ludzi naprzód skrzydłem wojennego pozwu i nad głowami furczy.

Muzyka pali w uszy.

Żołnierze maszerują prosto w otwartą paszczę widowni... Mnóstwo ruchomych kłęków chwieje się w jej czerwonych dziąsłach...

Aż oto wszystkie cztery podkowy sali obiega wielki jęk... Zrywa się nawałnica wołania i trzask brawa.

Stanęli żołnierze pod płóciennemi Sukiennicami.

Stoją. Tężą się. Nad głową każdego czuwa z kasku biały orzeł. Czarnym rzemieniem twarze opasał. Rzemienie w szponach dzierży.

Z przeciwka szlocha widownia tkliwą rozpaczą.

Lecą pioruny rozkazów.

Statysta daje front z całych sił, z całego serca, z całej duszy... Obcas o obcas gniecie, sprężył łydy, w służbistym wysiłku jabłka kolan uniósł ku górze... Karabin trzyma krzepko, że aż lufa się wzdraga...

W pasiastym odzieniu zjawia się sam Naczelnik...

Za nim generałowie...

Zaczynają dzwony na wieżach. Małe bractwo uderzeń... Wieksze szumią, jeszcze większe uderzają w głos...

W oczach statysty mąci się coś i na dwie drogi rozbiega. Na jednej stoi całe życie, skupione w hołdzie broni... Na drugiej leci jakoweś ptactwo niebywałe, — niezliczone...

Naczelnik rozwinął pergamin i ciska z niego na lud pożywną mannę słów: Ja — Tadeusz — Kościuszko — —

Niby to widzi statysta, że tam za sceną andrus w jęzory żelazne tłucze, że udają tu wszyscy na tych pochyłych deskach...

Ale czuje, że dzwony jak serca tłuką się w wieżach...

Że tu na rynku Polacy przysięgają...

Strugi zimna i gorąca drą wyprężoną pierś...

Naczelnik wyśmignął z pochwy krzywą szablę. On też, on też przysięga...

Spadła kurtyna.

Statysta uciekł w swój kąt koło kolan egipskiego boga. Czeka, póki z niego ten war udania nie wyparuje.

Później, gdy się inni z przebraniem ustat-

kowali, sam się też przyodział w sukmanę, krakuskę i pas nabijany. W garści kosa.

Łazili tu i tam. To znów czekali na ukąszenia dzwonków wzywających. Wtedy walili na scenę za Naczelnikiem w trop.

Aż nadeszło, że się z Moskalem zewrzeć mieli.

Koniowi Naczelnika murarz statysta, że się był na koniach znający, — szmatami kopyta owiązał.

Wszystko gotowe... Z tamtej strony wytoczyły Moskale wielkie armaty na mosiądz umalowane.

Ten w cylindrze, z książeczką, inspicjent, — jednych poukładał, jako już zabitych, drugich przy armacie dla obrony... Polskiemi trupami też sowicie scenę potrząsł, surowo przykazując, by się już za podniesieniem kurtyny nie ruszali.

Z wielkim zmartwieniem dojrzał statysta brata starszego między Moskalami.

Pstryknęły białe lampy i zgasły.

Puściła się cała rzeka czerwonych promieni. W kątach zaskwierczał biały proszek i za chwilę gęstym dymem owionął całą scenę...

Naczelnik konno stał w głębi, szablę zaprzysiężoną w garści dzierżył z tem, że gdy

machnie, kosynjery w kulisie ukryte, wyskoczą na armaty...

Podniesiono kurtynę.

Z bębnów wypruł się werbel... Huknęły karabiny... Ostry pisk zwierającej się stali przeszył powietrze...

Z widowni buchnął szum.

Bitwa trwała doskonale. Szum rósł coraz głośniejszy.

Gdy wtem Naczelnik błysnął szablą w powietrzu, wołając: „Weźcie mi to, dzieci!“

Oberwało się wszystko na wnątrzu statysty.

Tam na widowni popłoch niezliczonego ptactwa... Tu, — pyski armat... A na armatach zielone sołdaty!

Zagrało w nim to wielkie, ogromne, okrutne, bezbrzeżne, nieogarnięte — ...

Teraz kosynjery frunęły ku armatom.

Więc on, więc on, — więc on...

Już nie pamiętający, że wrzeszczeć zakazano, z wrzaskiem przeraźliwym — machający w porywie kosą, niby wiatrak śmigami na wietrze...

Ledwie mu błysnęła w zawierusze twarz brata w zieleni sołdackiej. Ale rozmachem

przysiężnym zdławił to „cof się“, co mu się z piersi rwało...

Pokopał brata, dorwał się armaty, na drzazgi ją rozwalił i razem z nią runął daleko między kulisy, na zimny zewłok w głębiach stojącego egipskiego boga...

SPIS RZECZY.

DZIEŁA
JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO:

NIEZGUŁA, powieść. Nakładem B. Połonieckiego. Lwów 1911 (wyczerpane).

ZAWODY, nowele. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków 1911 (wyczerpane).

PROCH, powieść. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków 1913 (wyczerpane).

ZBYTKI, nowele. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków 1914 (wyczerpane).

PIŁSUDCZYCY. Nakł.: Nacz. Kom. Nar. Oświęcim 1915 (wyd. II, wyczerpane).

ISKRY. Nakł.: Wied. Kurjera Polskiego. Wiedeń 1915.

BITWA POD KONARAMI. Nakł.: Nacz. Kom. Nar. Wiedeń 1915.

MOGIŁY. Nakł.: Wydz. Nar. Lubelskiego. Lublin 1916 (wyd. II, wyczerpane).

SPOTKANIE, nowele. Gebethner i Wolff. Warszawa 1917.

ŁUK, powieść. Towarzystwo Wydawn. Warszawa 1919.

WYPRAWA WILEŃSKA. Warszawa 1919 (wydanie II, wyczerpane).

PODPULK. LIS-KULA, życiorys. Nakł.: Bibljoteki Pol. Żołn. Polskiego. Warszawa 1919 (wyd. II):

WIANKI. Warszawa 1920.

WIOSNA 1920 ROKU. Warszawa 1921. Inst. Wyd. „Bibljoteka Polska“.

KUBIKON. Nowele. Warszawa 1921. Tow. Wydawnicze „Ignis“.

DZIEŁA
JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO:

NIEZGUŁA, powieść. Nakładem B. Połonieckiego. Lwów 1911 (wyczerpane).

ZAWODY, nowele. Spółka nakładowa „Książka". Kraków 1911 (wyczerpane).

PROCH, powieść. Spółka nakładowa „Książka". Kraków 1913 (wyczerpane).

ZBYTKI, nowele. Spółka nakładowa „Książka". Kraków 1914 (wyczerpane).

PIŁSUDCZYCY. Nakł.: Nacz. Kom. Nar. Oświęcim 1915 (wyd. II, wyczerpane).

ISKRY. Nakł.: Wied. Kurjera Polskiego. Wiedeń 1915.

BITWA POD KONARAMI. Nakł.: Nacz. Kom. Nar. Wiedeń 1915.

MOGIŁY. Nakł.: Wydz. Nar. Lubelskiego. Lublin 1916 (wyd. II, wyczerpane).

SPOTKANIE, nowele. Gebethner i Wolff. Warszawa 1917.

ŁUK, powieść. Towarzystwo Wydawn. Warszawa 1919.

WYPRAWA WILEŃSKA. Warszawa 1919 (wydanie II, wyczerpane).

PODPULK. LIS-KULA, życiorys. Nakł.: Bibljoteki Pol Żołn. Polskiego. Warszawa 1919 (wyd. II):

WIANKI. Warszawa 1920.

WIOSNA 1920 ROKU. Warszawa 1921. Inst. Wyd. „Bibljoteka Polska".

RUBIKON. Nowele. Warszawa 1921. Tow. Wydawnicze „Ignis".